

BLUSZCZ

*społeczno-literacki ilustrowany
tygodnik kobiecy*



W a r s z a w a,
S o l e c 87.

„BLUSZCZ“

społeczno-literacki
ilustrowany tygodnik kobiecy

telefon 2-44-18.

Ś-to Krzyska 17, m. 3, tel. 6-76-72.

W a r s z a w a,
Ś-to Krzyska 17 m. 3

telefon 6-76-72.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelna) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW

Dział robót pod kierownictwem JADWIGI KORZENIOWSKIEJ

Dodatek „Wychowanie i szkoła“ pod kierownictwem WANDY BORUDZKIEJ

Redakcja i Administracja: Warszawa — Solec 87, tel. 2-44-18 i 5-87-03

KLISZE WYKONUJĄ WŁASNE ZAKŁADY FOTO-CHEMIGRAFICZNE.

Treść numeru:

Na powitanie Polaków z całego świata — Jadwiga Krawczyńska. Poezje: Do dalekich braci — Stanisława Sznapera. Rozłączeni, lecz jedno o drugim pamięta — J. N. Pionierzy — M. H. Szpyrkówna. Spotkania — Aura Wyleżyńska. Nasi zagranicą — Hanna Morkowicz. Kobiety na Zjeździe Polaków z Zagranicy — Stefania Podhorska-Okolów. Amerykańczyki — Janina Łada Walecka. Dramat wyobraźni — Aura Wyleżyńska. Na froncie powodzi w Wilanowie — St. Osińska. Pani Kryszakowa — S. P. O. Na Złot Młodzieży Polskiej z Zagranicy — Halina Karnicka. Z ubiegłego tygodnia — H. N. Kącik radiowy. Ogrodnictwo i hodowla. Endywja — Marja Mauve. Kamelje — Marja Dąbrowa. Odpowiedzi działu ogrodniczo - hodowlanego. Dom i gospodarstwo: Odblask słońca — Wanda Dobrzańska. Przepisy gospodarskie — Melba. Mody i roboty.

WARUNKI PRENUMERATY:

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie—4.50 zł., kwartalnie—13.50 zł., rocznie—54 zł.

Do innych krajów miesięcznie — 5,20 zł. Zmiana adresu — 50 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszcza“ — Warszawa, Solec 87 i Ś-to Krzyska 17 m. 3.

Konto P. K. O. — WARSZAWA Nr. 3700.

W y d a w c a : Tow. Wydawnicze „Bluszcza“, Sp. z ogr. odp.

Pracownicy umysłowi korzystają z 20% ustępstwa.

WARUNKI OGŁOSZENIOWE:

	zł.
$\frac{1}{1}$ str. tekstu —	700.—
$\frac{1}{2}$ „ „ —	400.—
$\frac{1}{4}$ „ „ —	200.—
$\frac{1}{8}$ „ „ —	100.—
$\frac{1}{16}$ „ „ —	50.—
$\frac{1}{32}$ „ „ —	30.—

Okładka III-cia

	zł.
$\frac{1}{1}$ str. okł.—	500.—
$\frac{1}{2}$ „ „ —	250.—
$\frac{1}{4}$ „ „ —	150.—
$\frac{1}{8}$ „ „ —	80.—
$\frac{1}{16}$ „ „ —	50.—
$\frac{1}{32}$ „ „ —	30.—

Okładka IV-ta

	zł.
$\frac{1}{1}$ str. okł.—	600.—

Przy ogłoszeniach seryjnych prosimy o żądanie ofert.

Ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń w kraju i zagranicą, oraz biuro Tow. Wyd. „Bluszcza“ — Warszawa, Solec 87, tel. 6-26-44, 2-44-18 i 5-87-03. Cena artykułów reklamowych w tekście wedle specjalnej umowy.

Tygodnik „BLUSZCZ“ ze względu na swoje liczne i szerokie sfery czytelniczek, jest doskonałym organem reklamowym dla wielu artykułów z dziedziny zainteresowań kulturalnej kobiety.

Czytelniczki „BLUSZCZU“ powinny nabywać tylko te towary, które zaleca im ich ulubione czasopismo.

BLUSZCZ

SPÓŁECZNO-LITERACKI
ILUSTROWANY
TYGODNIK KOBIECY

Na powitanie Polaków z całego świata

Witamy, całym sercem was witamy!

Wracacie do nas z najdalszych kresów ziemi. Przybywacie z dobrą nowiną braterstwa i zjednoczenia wysiłków.

Witajcie!

Na spotkanie to dawno czekaliśmy. Wyciągałimy ku sobie stęsknione dłonie. Spełniają się dziś w oczach naszych marzenia ojców, w rzeczywistość obracają się proroctwa wieszczów o powrocie Pielgrzymów.

Do Ojczyzny przybyli zewsząd Polacy, rozproszeni po pięciu częściach świata. Przybyli — jak dotąd nie bywało — w wielkiej liczbie, w tysiącach, jako pełnomocnicy i wysłannicy wszystkich skupień, w których słyszy się mowę polską, wszystkich gromad, w których biją polskie serca!

Powszechne spotkanie Polaków z całego świata jest i musi być datą zwrotną w ich losach, datą znamionną w pracach społeczeństwa w kraju rodzinnym.

* * *

Słowa rozczulenia to zapewne niewiele, ale niesposób ich uniknąć, choćby opancerzyć się najchłodniejszym krytycyzmem.

Gdy spojrzysz się w oczy ludziom, co przybyli stamtąd, gdzieś z za Oceanu, z puszczy, z kopalni, z rojnych miast i zapadłego odludzia, z krajów zimnych i gorących, dalekich i obcych, gdy uściśnię się ich dłonie, posłucha się ich mowy szorstkiej i niezawsze poprawnie brzmiącej, już lży radosne napływają, jeśli nie do oczu, to głębiej, do serca, już ogarnia nieposkromione wzruszenie.

Nam tu, w ziemi rodzinnej, trudno jest nawet

pojąć tragedję, walki, prace, uciechy, nadzieje, tęsknoty tych, co przybyli zdaleka. Może nie rozumiemy ich i może oni niezupełnie nas zrozumieć potrafią, ale mocno czujemy wzajemnie naszą wspólność, naszą wielką tajemnicę krwi, mowy, kultury, magnetyczny związek z tą ziemią, która jest dla nas jedynym zakątkiem świata, nie lepszym, nie piękniejszym, nie bogatszym od innych, ale jedynym, rodzinnym.

Więc patrzymy na siebie ze łzami radości.

Człowiek w ojczyźnie bezbronny jest wobec tego nastroju, jaki przywożą oni, z obczyzny. Bezbronny wobec ogromu ich miłości, jaką poprzez czas i przestrzeń, z pokolenia na pokolenie hodowali w swych domach i sercach. Bezbronny wobec ich radości, zapalającej się, niby błyszczący płomień, na widok ziemi rodzinnej, wyśnionej i wytęsknionej. Bezbronny wobec ich entuzjazmu, z jakim witają każdy nasz wysiłek, każdą dokonaną już pracę w Niepodległym Państwie.

Nie wstydzimy się naszego rozczulenia, ani słów, łamiących się w gorączce powitań, ani radości serdecznej przy spotkaniu sióstr i braci z dalekiego świata. Możemy być dumni z uniesień szczęścia, jakimi darzy nas chwila ich przybycia. Zasłużyliśmy sobie na nią męczeństwem dziadów i wygnaniem, pogwałceniem i pracą ojców, naszą własną udręką, walkami i móżolem wielu pokoleń.

To spotkanie dzisiejsze jest wielką nagrodą trudów naszych i waszych.

* * *

Obecny Zjazd Polaków z Zagranicy, zorganizowany przez Radę Organizacyjną Polaków z Zagranicy, sprowadza po raz pierwszy na ziemię niepodle-

głego Państwa Polskiego przedstawiciele wszystkich ośrodków świata, mniej więcej 30-tu punktów na kuli ziemskiej, w których rozproszyły się 8-miljonowe siły polskiego wychodźstwa.

Znaczna część rodaków żyje naokoło ziem Rzeczypospolitej, jako mniejszości narodowe w sąsiedzkich państwach, cierpiąc nieraz niesprawiedliwości traktowania, niedotrzymanie obietnic i umów międzynarodowych o polskim szkolnictwie i wolności kultury, upokorzenia i krzywdy niezasłużone.

Inna część naszych gości pochodzi z emigracji politycznej, co kilkoma wielkimi falami wyrzucała na obczyznę bojowników o wolność, konspiratorów i powstańców. Ci dźwigają dziedzictwo chlubnej idei swych przodków wśród społeczeństw obcych, które im użyczyły gościnności. Zdobyli miejsce wśród obcych, poważanie i stanowiska, nieraz i sławę, pracują dla całego świata.

Inni wreszcie powędrowali w świat za chlebem, w poszukiwaniu ziemi i zarobku, którego nie mogli znaleźć pod własnym dachem. Ludzie ciężkiej pracy, biedni i prości, chłopci i robotnicy, popychani, źle nieraz traktowani przez obce narody. Ich niedola bolesnymi drogami przywodzi ich zpowrotem do Ojczyzny, by wysłuchała ich skarg i żalów.

Wszystkim tym tułaczom dolega najwięcej głód serca. Choćby mieli co jeść, choćby przywykli do cudzych obyczajów, choćby zyskali poważanie i dostatki między obcymi, choćby zapomnieli słów mowy polskiej... Serce ciągnie ich do Ojczyzny.

I niewątpliwie też głód serca był pierwszym sygnałem tej zbiórki powszechnej, jaką dziś widzimy w Polsce. Serce upomniało się o głos, a za niem odezwały się i inne głosy.

* * *

Patrzymy na nich, którzy do nas przybyli i oni na nas patrzą. Jesteśmy inni i oni są inni. Inny typ zewnętrzny, inny sposób reagowania, myślenia, inne na wiele spraw poglądy, inne zachowanie się wśród ludzi, inne zwyczaje codziennego życia, inny akcent, inny typ człowieka...

Mi zbieraliśmy nasze doświadczenia, gorycze i plony na własnej równinie, oni zbierali je, bywając na cudzych ugorach i asfaltach. A teraz wzajemnie przynosimy je sobie na jeden, wspólny stół, dla nauki i pożytku wszystkich razem.

Typ Polaka w różnych krajach i warunkach bytowania nabrał cech odmiennych. Bardziej odmiennych niż te, które różnią lwowianina od poznańczyka. Jakby przybyło nam więcej prowincyj... czyż możemy się na to żalić?

Mamy wśród rodaków z zagranicy hartownych, dzielnych ludzi, mamy takich, co zyskali większą obrotność i rzutkość w starciu z szerokim światem, nabyli metody solidnej i solidarnej pracy. Ale mamy tu i owdzie także smutnych rozbitków. Mamy środowiska polskie doskonale zorganizowane wśród obcych społeczeństw, mamy środowiska jeszcze słabe i rozproszone. Ale na czoło wybił się typ świadomego, swej narodowości i dumnego ze swego pochodzenia Polaka, który, jako lojalny obywatel obcego

państwa, żąda należytego sobie oparcia kulturalnego o swoje państwo macierzyste, o swoje społeczeństwo w kraju rodzinnym. Dowód, że tak jest, to, że oni tu są z nami i wśród nas.

Ich stosunek do społeczeństwa w kraju i do Państwa Polskiego niezawsze jest dobrze zrozumiany. Bo oto Polacy zagranicą interesują się nadzwyczaj żywo wszystkim, co dzieje się w Ojczyźnie, przejmują się wydarzeniami, dolami i niedolami „starego kraju“, są bardzo dumni z wszelkich sukcesów, od politycznych do sportowych, czuli na klęski (choćby ostatnia powódź...), ale... nie a nie nie obchodzą ich partykularne spory polityków i rozgrywki partyjne. Nie chcą wcale uczestniczyć w jakichkolwiek „orientacjach“, w opozycjach i intrygach. Z ust najbardziej miarodajnych przedstawicieli największych polskich organizacji na obczyźnie słyszymy to samo: „Chcemy popierać Polskę i wszystko, co polskie. Kochamy naszą ziemię. Nie chcemy i nie będziemy mieszać się w żadne wewnętrzne nieporozumienia, tak jak nasze partykularne sprawy chcemy załatwiać sami między sobą“. Polska, wyrażona nazewnictwem w instytucji Państwa, jest dla Polonji zagranicznej jedynym istotnym symbolem i rzeczywistością.

* * *

Doniosłość Zjazdu Polaków z Zagranicy polega tym razem na jego powszechności i na wielostronności zagadnień, jakie będą poruszone w obradach, na wprowadzeniu przytem porządku według realnych potrzeb kulturalnych i gospodarczych. Zamiast przypadkowości dotychczasowych działań na obczyźnie, zamiast dorywczych zetknięć się społeczeństwa z kraju z rodakami - emigrantami, mamy plan współpracy, mamy dążenie do rzeczowego i stałego nadawania kierunku poczynaniom Polonji z zagranicy i rodaków w Ojczyźnie. Od porywczych i żywiołowych drgnień serca przechodzimy do stałej, systematycznej pracy. Mamy plan współpracy, mamy kierunek dla poczynañ rzeczowych, przewidzianych na dłuższą metę.

Zjazd rzuci podstawy pod organizację Światowego Związku Polaków, jednoczącego wszystkich, co czują się związani swem pochodzeniem polskim, gdziekolwiek żyją na kuli ziemskiej. Zsolidaryzowanie polskości ma w tem zamierzeniu dodać znaczenia, powagi i siły imieniu polskiemu w świecie. Jednoczenie prac na polu oświaty, kultury, przemysłu, handlu, gospodarki w szerokim znaczeniu ma dać realny pożytek zarówno krajowi, jak wychodźtwu. Interesy są obustronne. Nawiaże się współpraca między organizacjami polskimi w kraju i zagranicą, ustali się popieranie wszystkiego, co polskie, wśród swoich i obcych.

Poznanie się wzajemne na Zjeździe Polaków z Zagranicy jest koniecznym etapem dalszej, solidarnej współpracy kulturalno-gospodarczej. Do związków uczuciowych, do haseł serca polskiego dołączamy dziś hasła spójni pracy polskiej.

Wielka to przemiana i postęp dziejowy.

Jadwiga Krawczyńska.

PRZEZORNA KOBIEȚA OSZCZĘDZA

aby w razie potrzeby nie poszukiwać bezskutecznie gotówki

Do dalekich braci

Dalecy bracia zamorscy
Z dalekiego świata,
Dalekie, zamorskie siostry,
Nieznajomi, bliscy goście
Jesteście u nas po latach
Rozłąki i niebytności.

Mamy dla was, za słowami,
Za skrętami małych liter,
Dużo ciepłych, żywych serc.
Za słowami — sztachetami
Stoją niemo i z zachwytem,
Wyciągając do was ręce.

Nie możemy was zadziwić
Wspaniałymi okazami
Gmachów, zamków, wież, pomników,
Olśnić nieba drapaczami...
Wszystko małe, ale tkliwe.
Więcej prawdy, niżli krzyku.

Chodźcie sobie po ulicach,
Jak po znanych, drogich ścieżkach,
Jak po miejscach ukochanych,
Ze skromnymi budynkami.
I nie myślcie o nas: „Dzicy!”
I nie czujcie się samotni.

Pamiętajcie: W każdym oknie
Jedno bliskie serce mieszka.

Stanisława Sznapera.



Rio Janeiro, stolica Brazylii w nocy.

Rozłączeni, lecz jedno o drugim pamięta

Emigracja jest jedną z najdawniejszych form ruchów społecznych. W każdym kraju istniała ona od tysięcy lat. Wszędzie i zawsze znajdowali się ludzie, szukający przygód, polepszenia bytu, lub rozszerzenia potęgi swego kraju drogą wychodźstwa.

Ten ostatni cel jednak zostawał osiągnięty wtedy jedynie, jeżeli utrzymywana była wzajemna łączność między wychodźcami a krajem macierzystym.

Naturalnie, że najbardziej konkretną, narazie przynajmniej, postacią tej łączności są kolonie, objęcie nowego obszaru ziemi przez państwo i obsadzenie go swymi obywatelami. I tam jednak, gdzie niema władzy kolonialnej macierzystego kraju, mogą być skupienia emigrantów, posiadające prywatne znaczenie i przynoszące krajowi wielkie korzyści, jak np. liczne, po całym świecie rozsiane ośrodki emigracyjne niemieckie, lub polskie w Ameryce.

Jeżeli emigracja jest sprawą dawną, to planowa polityka emigracyjna, poza właściwymi koloniami, datuje się o wiele później. Przez długi czas wychodźcy pozostawieni byli własnemu losowi i tylko od ich poczucia narodowego, jak również od wielu okoliczności zewnętrznych zależało, czy i jak długo się nie wynarodowia.

Potem, czasem, zaczęto zwracać baczną uwagę na tę sprawę i otaczać opieką skupienia emigracyjne. Polska, rzecz prosta, nie mogła o tem myśleć, nie mając samodzielnego bytu. Nasi emigranci byli, z natury rzeczy pozbawieni opieki swego państwa, tem większa ich zasługa, że w tych warunkach liczne ich rzesze potrafiły nie zatracić łączności z krajem, zachować miłość i wierność ojczyźnie i, jak pamiętamy, w latach wielkiej wojny „stać w potrzebie”.

Los odplacił im za to wolną ojczyznę, z której mogą być słusznie dumni i która jest im już dziś nie tylko moralnem, lecz istotnem oparciem. Daje je emigrantom państwo, zarówno jak organizacja społeczna, Rada Organizacyjna Polaków z zagranicy.

Chodzi więc teraz o skoordynowanie wspólnych wysiłków, o jak najgłębsze przeniknięcie istoty stałego kontaktu spraw wspólnych i ich właściwe, trwałe rozwiązywanie.

Sam czas zjazdu mniej się nadaje do ścisłej pracy. Jest to przede wszystkim święto, wypełnione przyjęciami, zwiedzaniem i różnego rodzaju uroczystościami. Z tych momentów emocjonalnych wypływają jednak bezwzględnie, wzmożone niemi, trwałe postanowienia i plany.

Doświadczenie dotychczasowe uczy nas, że największą potęgą wszelkich zrzeszeń ludzkich jest zawsze i wszędzie organizacja.

Jeżeli zaś wpływy zrzeszeń są wielkie nawet we własnym społeczeństwie, to tem większego nabierają znaczenia w obcym, gdzie luźni, nieorganizowani emigranci pozostają sami na łasce losu, oddani każdy swej osobistej sile i wytrwałości jedynie, podczas gdy w łączności organizacyjnej stanowią zwartą grupę, zdolną zająć poważne stanowisko wśród obcego otoczenia, polepszyć los własny i utrzymać łączność z krajem, biorąc udział w jego sprawach. Żywy przykład tego mamy w organizacji Polaków amerykańskich, którzy zaznaczyli swe poważne wpływy w Stanach Zjednoczonych w czasie wojny.

Mniej liczne, lecz również zrzeszone mamy środowiska emigracyjne w niektórych krajach Europy Zachodniej.

Wszędzie tam, gdzie wychodźcy utrzymują łączność organizacyjną, tam nie zatracają się w środowisku obcym, lecz utrzymują swoją narodowość, a nawet, jeżeli zostają formalnie obywatelami obcego państwa, zachowują zawsze swoje znaczenie, jako własny ośrodek narodowy.

To jest polityka emigracyjna, niezmiernie ważka, samych emigrantów. Ze strony kraju macierzystego wypływać musi stała łączność i dopomaganie wszelkim poczynaniom wychodźców, bez tej jednakże woli organizacji, utrzymania narodowości i kontaktu z krajem ojczystym z ich strony wszelkie poczynania państwowe trafiałyby w próżnię.

Musimy teraz zdać sobie sprawę z tego faktu, że najbardziej ważkim czynnikiem konserwującym narodowość, jej tradycje i obyczaje w rodzinie, czynnikiem broniącym od wynarodowienia jest kobieta.

Wszędzie i zawsze w ciągu długich lat naszej ciężkiej doli pod obcym jarzmem kobiety tworzyły ośrodek narodowy w rodzinie. Ślązaczki i Kaszubki przez całe wieki utrzymały wiarę i język, kobiety polskie we wszystkich zaborach ustanowiły w domach swych szkołę, ba, domową akademię literatury i wszelkie zrzeszenia społeczne i polityczne. To samo na wychodźstwie, gdzie tylko dba o narodowość matka i żona, tam utrzymuje się w domu język polski i polski obyczaj. Tam zaś, gdzie kobiety stworzyły w nowszych czasach organizacje własne, tam widzimy, jak wielki jest ich zasięg i znaczenie. Związek Polek w Ameryce, chociaż podstawą jego była myśl ubezpieczenia członkiń, jest dziś jednym z najbardziej rozgałęzionych zrzeszeń, ogarniających dorosłych i młodzież, prawdziwym ośrodkiem narodowym polskim na emigracji.

Przykład tego związku powinien stać się podniecią do tworzenia podobnych organizacji kobiecych polskich w innych krajach, we wszystkich większych środowiskach wychodźczych.

Niedawno w jednym z pism, wydawanych przez Radę Organizacyjną z zagranicy, rzucono hasło: *każdy młody Polak na wychodźstwie należy do polskiej organizacji*. Powinno ono stać się również fundamentem działalności wszystkich kobiet. Wpływ kobiety w rodzinie jest wielki, dziś jednak wpływ ten musi wyjść poza ciasny krąg domu i uzewnętrznić się w pracy organizacyjnej, łączącej kobiety na obczyźnie między sobą i łączyć ich organizacje z krajem rodzinnym.

To jest nasze pragnienie, nasze wskazanie, które wyrazić możemy z najserdeczniejszym życzeniem powodzenia pod adresem wszystkich kobiet Polek zagranicą. W obcowaniu, w rozmowach wzajemnych z temi, które przybyły, wyłonią się ich dezyderaty i wskazania, jak my, nasze organizacje kobiece, dopomóc im mogą, jak utrzymamy ze sobą łączność, czego od nas najbardziej oczekują nasze siostry na obczyźnie. Celem współpracy będzie zawsze dobro naszej emigracji i dobro Państwa Polskiego, dobro Polski, która jest jedna, zarówno na ziemi rodzimej, jak w sercach zdala od niej przebywających, ale duszą z Nią złączonych wychodźców.

J. N.

POBYT W UZDROWISKU I NA LETNISKU

UPRZYJEMNIAJĄ CIEKAWY DZIENNIKI I CZASOPISMA

Pionierzy

Gdzie jest ten dziejopis, który piórem barwionem we krwi i złocie skreśli dzieje męki i chwały pielgrzymstwa polskiego, poprzez długie wieki czasu i różnolite jego koleje? Sprawa emigracji nie doczekała jeszcze swego Homera. Tu i tam zjawiają się poszczególne do niej przyczynki, tu i tam ukazują się studja i monografie, poświęcone poszczególnym jej okresom, ale całość wymyka się pióru i oku! Jak pracownicy tkacze ogromnego kilimu o tysiącmany wzorze, znamy każdy tylko swój mały zasięg. Ale czy owe siedemdziesiąt siedm barw, odróżnianych podobno przez oko tkaczy, a zwyktemu człowiekowi ukrytych, wystarczą na odmalowanie całokształtu dziejów wychodźstwa?

Zjazd Polaków z Zagranicy, zainicjowany w Polsce w piętnastolecie niepodległości, jest etapem w dziejach naszej emigracji. To, jeden z nielicznych dni zapłaty, jaką historia czasem, niezawsze daje swoim ofiarom. Jest to powrót wychodźstwa, w osobach swoich przedstawicieli, powrót po setkach przymusowych fal wygnania z ojczyzny. Nasza emigracja nie była tylko tym zwyczajnym objawem zdrowej ekspansji narodu, który prze do rozszerzenia się poza granice własnego kraju i stanowi jego dobrowolną awangardę na dalekich kolonjach i po stolicach obczyzny. Była od niepamiętnych lat przymusowym wygnaniem, ucieczką od zaborcy i drogą krzyżową. Fale emigracji dalekowschodniej, zaludniającej w rozproszeniu olbrzymie przestrzenie Syberji, Mandżurji i przyległych wysp, była całkowicie nieomal falą powstańczą, wygnaną przymusowo na osiedlenie. Amerykańska emigracja, nosiła wybitnie charakter uchodźstwa z nieznosnych warunków podzaborowego ucisku i nędzy po lepszy chleb do wolnych Stanów lub dalekich brazylijskich puszczy. Jedynie może emigracja europejska do Niemiec, Francji i krajów północnych miała cele bardziej dosłownie zarobkowe, jakkolwiek nieraz łączy się z zagadnieniami narodowymi. A jeśli idzie o emigrację popowstaniową, to paryscy i szwajcarscy działacze emigracyjni tworzyli serce ruchu narodowego na obczyźnie wtedy, kiedy to serce w Polsce samej zostało przebite przez potrójny miecz rozbiorów. Tak czy inaczej, emigracja polska daleko wykracza poza ramy tego, co zwykle imieniem wychodźstwa się określa, a wchodzi w zakres patryjotycznej, pionierskiej



Dwa pokolenia pionierów.

i nieraz apostołskiej pracy w imię swego kraju i dla jego dobra lub też usiłuje stworzyć poza ramami tego kraju, zamkniętego obcymi granicami, namiastkę Nowej Polski, gdzieby wolny od zaborcy, emigrant mógł odtworzyć niejako obyczaj utraconej ojczyzny.

Ta karta działalności emigracyjnej warta jest tem większego pogłębienia właśnie dziś, kiedy Polska odbudowuje się już we własnych granicach i zwłaszcza, kiedy uzyskuje dostęp do morza. Z zapomnienia i archiwów przeszłości wydobywają się teraz powoli najaw nazwiska, które słusznie powinny zaważyć na szali naszej pamięci. Nie gdzieindziej, tylko właśnie pomiędzy emigracją należy szukać i tych, którzy w dawnych czasach jeszcze o Polsce Morskiej marzyli i na miarę sił swoich, a często ponad ich miarę, usiłowali ją zbudować. Fakt, że Gdyńia wyrosła na piaskach w naszych oczach z niczego, sprzyja złudzeniu, że jesteśmy pierwszymi niejako jej twórcami, co w pewnym sensie oczywiście jest. Ale faktem, który podnieść właśnie teraz, w dobie zjazdu Polonji naszej wychodźczej należy, dla oddania jej słusznej zasługi, jest, że w odbudowie Polski Morskiej oddawna leży na spodzie cegielka, złożona z okruszków wielkiej pionierskiej działalności emigrantów, o dziś zapomnianych nieomal imionach.

Jednak najbardziej nawet zamilowanemu laikowi trudno jest na własną rękę zdobywać potrzebne wiadomości. Zwłaszcza, że, jak dotąd, są rozproszone po archiwach, stowarzyszeniach i ministerstwach, co utrudnia studja. Projekt wielkiej centrali marynistyki polskiej, któraby skupiała cały materiał muzealny, bibliograficzny i informacyjny w jednym miejscu, złożony został dopiero przez długoletniego badacza spraw morskich, Stanisława Zielińskiego z ramienia Ligi Morskiej do powołanych władz. Tymczasem, sam jest znakomitem biurem informacyjnym pionierstwa, które zresztą stanowi zaledwie jeden z działów jego rozległej erudycji. Niepospolicie bogate swoje życie podzielił na okresy. Jest tam i szkoła pruska, i robota niepodległościowa za zaborów, i geografia, i bibliografia, i historia, i biblioteka Rapperswilska, i sprawy morskie, w które wsiąkł po odzyskaniu przez Polskę morza. Każdy z tych dzia-



...Tak wędrują pionierzy w Południowej Ameryce.

łów, jak dojrzała makówka, rozsypuje się za łada potrząśnięciem, setkami nazwisk, wypadków i dat.

Ale zwłaszcza jest przywiązany do Rapperswilu. Z tego zameczyska, osiadłego, jak arka na szczytach, szwajcarskich gór, gdzie się schroniły, jak do arki, wszystkie, ocalone z emigracji dokumenty zgładzanej z mapy świata Polski, obserwował skrzętnie przez całe lata szalejące nawałnice dziejów i wyląwiał z nich wszystko, co polskie, do archiwów, kartotek i ksiąg. Rapperswilskie archiwa to jedyny w swoim rodzaju zbiór dokumentów powstaniowych, a dokoła powstań grupuje się znów cały szereg nazwisk właśnie pionierskich. Ludzi, którzy utracili Polskę w Europie, a nieraz i nadzieję na jej zmartwychwstanie, próbowali zbudować ją na dalekich wyspach mórz, które dla niej zdobywali lub zdobyć chcieli. Stąd, kto chce się wyznać w początkach polskiej kolonizacji i emigracji, bez archiwów Rapperswilskich, nie da sobie rady. Tu są skarby morskiej przeszłości Polski, i to ba! jakie skarby. Pionierów, jakich Polska miała, teraz już mieć nie będzie, bo to, co dawniej można było wziąć, dziś już zabrane. Ale dokumenty były i są!

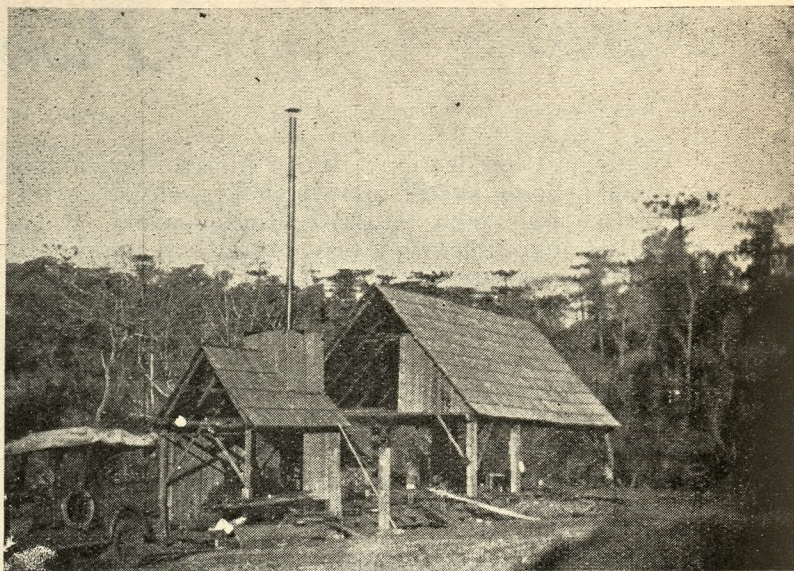
— Ale czy naprawdę, poważnie, Polska miała pionierów? Coś się słyszy o Janie z Kolna, o Arciszewskim, o Rogozińskim... Czy jednak, gdyby chcieć ułożyć taki spis pionierów, któryby i dla zagranicy był świadectwem naszych do morza praw, mielibyśmy dość nazwisk na taki spis?

Jeżeli pobłażliwość, triumf i politowanie mogą się mieścić w jednym spojrzeniu znawcy na profana, to w tej chwili tak jest. P. Zieliński nieomylnym ruchem wydobywa z pod stosu szpargałków pękata, ciemno oprawną książkę podobną do grubego słownika, i puka w jej okładkę, jak w drzwi, z poza których wywołuje świadków.

— Spis pionierów? A właśnie jest! To, com tu w tej książeczce zebrał, to wprowadzie dopiero początek: tysiąc i coś nazwisk, na kilka tysięcy, które mam! Ale trzeba bodaj na tych siedmiuset kartkach Polakom pokazać, że ta Polska Morska, że ci morscy ludzie byli i są! Kto pamięta, że Madagaskar i Kamerun, że wyspy Amstardam i St. Paul na Oceanie Indyjskim były w naszym ręku? Tysiąc i coś! Na kilka tysięcy niewydrukowanych jeszcze.

Czuję wstyd i dumę! I nic się o nich nie wiedziało! Ale niemniej duma jest większa, niż wstyd.

Znakomity uczony patrzy z pod oka i cieszy się. Nie pierwszy to szczer ładowy wije się przy tem biurku, zachłyśnięty jego dorobkiem morskim.



Tartak w Cantogallo, własność Polskiego Tow. Kolonizacyjnego.



Kościół w kolonji polskiej Coronel Quicivor.



Szkoła polska w Virmond, z nauczycielem p. Krygierem.

— A szczególnie ciekawy i, by tak rzec, chwalebny dział stanowią właśnie pionierzy emigracyjni! W Rapperswilu siedziałem cały czas w powstaniu sześćdziesiątego roku, nie mogłem się o nich nie potknąć, a po nitce do kłębka, doszło się i do tych, którzy byli przed nimi. Przez całe wieki, fregaty i okręty pod znakiem polskim przecinają oceany i morza obu półkul świata, bądź wojując, bądź szukając miejsca pod założenie kolonij dla Polski, ale zwłaszcza za czasów pozaborowych. Za mało, za mało o nich wiemy!

Taki Sadowski w połowie ośmnastego wieku zakłada w Stanach amerykańskich, w Texas, około trzydziestu osad, które się dotąd nazywają mniej lub więcej podobnie do jego nazwiska; czyż to nie wkład cywilizacyjny i pionierski dla Ameryki, która wtedy dopiero się zaczynała rozbudowywać?

A taki pyszny Ślązak, ksiądz Moczygęba z trzema braćmi Moczygębami, który wkrótce potem za-

kłada osadę polską, także w Texas, nazwaną „Panna Maria”. Ludwik Chłopicki znowu w Illinois organizuje „New Poland”. Wereszczyński na emigracji za powstania deponuje dziesięć tysięcy rubli i bibliotekę wartości czterdziestu tysięcy na założenie niezależnej kolonii polskiej na Nowej Gwinei, za co go okrzyknięto fantastą i dziwakiem; a Niemcy to zrobili w jakiś czas potem bardzo gładko. Jest o tem ogromnie ciekawa korespondencja jego z Sybirakami, zesłańcami powstaniowymi, z którymi chciał wspólnie zorganizować tę akcję!

Za nim w kilka lat wybucha sprawa Stebleckiego, który znowuż kupuje pięćset kilometrów kwadratowych w Afryce, także dla kolonii polskiej... Nie spoczęli aż do ostatniej chwili!

Dopiero na kilkanaście lat przed niepodległością umarł ostatni przedwojenny wielki pionier polski na morzu, Rogoziński: zdobył Kamerun, oddając go pod angielski protektorat. W tamtych czasach zrobić wyprawę na niezbadany jeszcze taki Kamerun, wyłącznie polskimi środkami, krzyku w prasie narobiła ta rzecz podówczas co niemiara. Świętochowski wołał, że to utopia, i że groszaby na to nie dał, nawet mając miliony; Sienkiewicz i Prus wołali płomiennymi słowami, że każdy Polak na to musi dać wiele, ile tylko go stać; zrobił się ruch! I Rogoziński zdobył towarzyszy i pieniądze, ba! zdobył Kamerun: cóż, kiedy Anglicy byli wtedy uwikłani w Egipcie i nie zdołali pokroić apetytu Niemców! Ale zbiory etnograficzne, wykresy i folklor nieznanego wówczas jeszcze terenu zostały, i weszły nazawsze do nauki ogólnoludzkiej, jako przyczynek wniesiony przez polskiego uczonego dla chwały polskiego imienia. Rogoziński organizował swoją wyprawę wybitnie z planem i ideją państwową, i to jest także ważne! Nie doczekał biedak Polski Niepodległej, spalił się zbyt wcześnie własnym, niepomiernym zaiste, jak na jednego człowieka wysiłkiem! Zato towarzyszy jego wyprawy, Janikowski, oglądał niepodległość własnymi oczami.

Ba, gdyby o każdym, kto tego jest wart, powiedzieć bodaj słowo, zrobiłby się słownik na tysiąc stron! A ktoś go jednak zrobić, i nie tylko na jedno słowo, musi! Musimy nie tylko nauczyć samych Polaków, żeśmy wnieśli wkład cywilizacyjny do ogólnoludzkiego dorobku, równy innym narodom, ale nadto musimy rewindykować u obczyzny Polaków, którzy za bezpieczeństwa naszej, wsiąkli w Anglików, Francuzów czy Niemców! A na marginesie tej roboty, na wystawę podczas Zjazdu Polaków z Zagranicy, robię sobie dla rozrywki takie plakaciki, głoszące, co Polacy na świecie zrobili: „naj:” najdłuższy tunel, największy most, najwyższy szczyt. Mam już tego ze czterysta sztuk, zebranych w wolnych chwilach. Tylko, że alboż to człowiek tych wolnych chwil tak znowu dużo ma?

Nie! Sądząc z tego, co widzę, niedużo! A jednak dość, aby na ich marginesie, jak na marginesie rozrzuconych po biurku karteluszków, niestrudzony badacz kreślił minione i obecne dzieje pionierskie. Dzieje o wielkiej zasłudze, które czekają na swoje sto ksiąg.

Emigrant polski, po wiekach udręki i bezpańskiej tułaczki po obczyźnie, własną pracą i żelazną wolą umiał jednak wykrzesać tak wspaniałą organizację, jak Polonia Stanów Zjednoczonych, jak osadnictwo południowo-amerykańskie, jak polskość kolonii charbińskiej, jak niezliczone organizacje patriotyczne emigracji europejskiej, najmniej zresztą może zwartej. Umiał nie tylko, opuszczony i pozostawiony na własny los, bez rządu i sztandaru, stworzyć samoistne życie własne, ale i zaważyć na życiu narodów, w których znalazł chwilową ojczyznę. Pionierska i misyjna praca naszego emigranta stanowi wkład już bardzo ważki w ogólnych dziejach cywi-

MARZENIE praktycznych P a ń D o m u

o środku umożliwiającym pranie jedwabi i cienkich wełen w letniej wodzie, niedziałającym ujemnie na kolory, niedopuszczającym do zbiegania się tkanin **zostało zrealizowane!** z chwilą ukazania się w sprzedaży detalicznej

Mydła żółciowego

M. Malinowskiego

WARSZAWA

Apteka
ul. Nowy Świat 51

Lab. Chem. Farm.
ul. Chmielna 4

**Jak wykonać cały szereg wykwalifikowanych
modnych rzeczy, nauczy Panią książeczka**

p. t. **„Artystyczne pikowanie”**

w opracowaniu T. Głębockiej

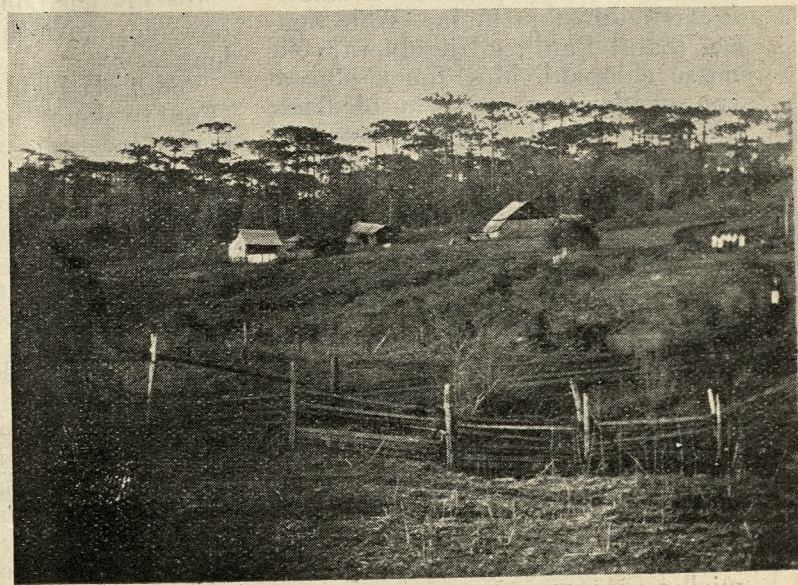
Warszawa, Solec 87 i Świętokrzyska 17 m. 3
Do nabycia w Tow. Wydawn. „BLUSZCZ”
oraz we wszystkich większych księgarniach.
Konto P. K. O. 12.200

Cena 1 zł. 50 gr. z przesyłką poczt. 1 zł. 80 gr.

lizacyjnych ludzkości. Musimy, zwłaszcza, emigracja nasza, o tem wiedzieć i pamiętać, bo świat zapomina szybko, nawet jeśli go olśnią wyprawy i wszechświatowej sławie, jak przelot kpt. Skarżyńskiego i braci Adamowiczów. Musimy wydobyć z zapomnienia naszych pionierów! Wydobyć z przeszłości te nazwiska, czyny i ludzi, którzy słusznie powinni być naszą awangardą w konkursie narodów o przydział należnych naszej emigracji ziemi i głosu w krajach przybranej ojczyzny!

Miejsce pod posąg Polskiego Pioniera!

M. H. Szpyrkówna.



Kolonja polskich osadników.

Spotkania

W czasie długiego pobytu we Francji poznałam wielu Polaków, ale dla miłego powrotu pamięcią w tamte czasy wystarczy przypomnieć sobie kilka spotkań.

Kiedyś spędziłam wakacje w prowincji Anjou, w pałacyku zamienionym na pensjonat. Dowiedziałam się, że w sąsiedniej fermie jest polska dziewczyna. Poszłam ją odwiedzić, zdaleka wśród łanu róż, które okopywała, zobaczyłam łowicką spódnice. Poznałyśmy się szybko, opowiedziała o swym obecnym życiu. Zarabia wcale dobrze, było to mniej więcej dziesięć lat temu, „patronne” zaczyna, tylko chce, żeby Marysia na niedzielę nosiła jedwabne pończochy. W Grzybowej Woli orzekliby, że dziewczucha stała się we Francji rozpustna. A o to bardzo łatwo! „One takie same szelmy, jak wszystkie chłopcy!” Ale nie! Kieckę będzie nosiła w pasy, pończoch jedwabnych nie włoży, a patronowi powie co trza powiedzieć. Choć po ichniemu mało umie. Nauczy się gadać, zanim skończy się kontrakt, potem pojedzie do tego Paryża, tam podobno można zarobić wiele pieniędzy!

Obiecałam przysłać jej samouczek, postępy poczyniła wielkie, o czym mogłam się przekonać, gdy przyjechała na służbę do stolicy. Posadę miała świetną, robotę lekką.

— Raz, dwa i jest cały obiad, oni to nazywają déjeuner, niech będzie déjeuner. Zupełnie gotują na kolację, za 10 minut gotowa. Wszędzie znajdę, gdzie już byłam. Pierwszy raz madame poszła ze mną na marché, teraz chodzę sama. Najpierw trzeba iść na lewo, potem na prawo. Trafie też w niedzielę do św. Kazimierza, albo na mszę, albo na nieszpory. Czasem zostaję pogadać z dziewczętami. Ale tam nudno. Wolę Senpol (Saint Paul), gdzie zbierają się nasze chłopaki. Mój Janek obiecał zaprowadzić na przyszłą niedzielę na foire, mówił, że przedstawiają Paryż, jak wyglądał pięć wieków temu...

Kiedyś znów wczesna jesień zaniosła mnie na południe Francji. Chodziłam do winnicy kupować grona z krzewu. Dostawałam za dwa franki kilo i jeszcze spory dodatek. Także wiele wesołych słów. Raz gospodarz zapytał, skąd jestem. Wyjątkowo „la Pologne” nie była mu obcą nazwą. Bez szukania w głowie i geografii powiedział:

— Wiem, gdzie leży. Mam tu jednego Polaka. Dobry pracownik, wielka pomoc z niego.

Myślałam, że człowiek ten jest z

południowej części naszego kraju, skoro umie chodzić koło winnicy. Był z Poznańskiego. Dziwił się memu zdziwieniu.

— Przyjechałem tu dotąd... Cemu nie mam się znać na obróbce winnicy? Harówka, jak każda. Patrzyłem, patrzyłem, zobaczyłem co i jak się robi. Zaś przyuczyć się łatwo, kiedy człowiek ma sposobną po temu głowę.

Podniósł konopiastą czuprynę, jakiej nikt przedtem tu nie widział.

— Tylko rozmawiać z bestjami nie można... Gadają jeno po swojemu. Ja bo i po polsku i po niemiecku. Jeden tu był w niewoli u bosza, więc służył nam, jak oni to nazywają, za interpreta. A także dnia świętego nie szanują. Dopłaca za robotę, toć prawda, ale każą robić w niedzielę. I jeszcze, proszę pani — pochylił się konfidencjonalnie, zwierając tajemnicę — chłodu tu nijakiego niema, ani śniegu. Ciągłe słońce i ta zieleń. Ja bo wolę po naszymu. Kiedy gorąco, to nie do wytrzymania, a kiedy zima to ma być ziąb. Ale trudno. Powiedziałem mojej babie, że nie wrócę, aż zarobię tyle, ile potrzeba na wykupno tego kawałka ziemi, co leży obok naszego pola. Nie wrócę. Niemiec obiecał czekać i dałem mu zadatek, poco takiemu ziemia? Z miasta jest psia jucha, a ja chcę uprawiać perki. A tymczasem to muszę już iść do winnicy. Tak jest, moja kochana pani, prawda, nie?

Ciemny wieczór się zrobił o piątej godzinie, choć księżyc przebił skroś chmur, gdy na najpiękniejszym w świecie Placu Zgody, spotkałam kobietę z dzieckiem przy piersi, rzewnie płaczącą. Z twarzy ubrania wiedziałam, jak trzeba ją powitać: „Niech będzie pochwalony”.

Podniosła błękitne oczy i spytała: „Pani tu skąd?” Że ona na paryskim bruku lży roni, rzecz to naturalna. Chętnie przyjęła propozycję wypicia u mnie kawy. Piła i mówiła. Chciwie przetykała łyżki ciepłego i słodkiego płynu, a wyrzucała gorzkie i zimne swe myśli:

— Dziecko musowo trzeba oddać. Nima innej rady. Mojego zabiło na kopalni, mieszkaliśmy w Cournav. Dobrze było. Prawie polska wieś. Swoją ksiadź, swoją szkoła, sklepy, karczma. Trochę to on do tej karczmy za często zaglądał, ale trudno. Zarabiał wiele. Przyszedł synaczek, że tu się urodził, tutejszy citoyen. Dopiero kiedy dorośnie może sobie wybrać ojczyznę. Wiedzieliśmy dobrze, że musi wybrać Polskę. Ale,

jako rzekłam, mojego zał. Polak je dobry a głupi, pierwszy do wszystkiego, do wypitki i do bitki, ale także do ratowania kawałków. Uratował innych, jego zasypało. Czarnym węglem zasypało mojego chłopca. Na ament. Świeć Panie nad jego grzeszną duszą! Oszczędności żadnych nie zostawił, bo gdzieżby się spodziewał śmierci? Odprowadzi dali tyle, że na godny pogrzeb i na przyjazd do Paryża. Tam przyjechała, bo mówili, że łatwo o służbę. O służbę łatwo, ale samej. Oni swoich dzieci nie mają, a gdzieżby gdzie przyjęli? Mieszkam w barakach... Bo gdzieś mieszkać trzeba. W dzień, tak się tu i tam poniewieram, to do kościoła pójść, to na ławce posiedzę. Ale w nocy nawet metro zamykają. Miasto wielkie a nikogo nima swojego... Mówiła mi jedna, że można oddać dziecko. Rząd weźmie... Żeby potem mieć dobrego żołnierza... Ale, moja pani, jakabym to ja była matka, żebym z Polaka zrobiła Francuza... Ja tam o siebie już nie stoję, niechta, mogę tu zamrzeć, ale on musi wrócić do kraju...

Matka nie zginęła, synka nie oddała do Assistance Publique, zajęła się nimi Opieka Polska, która wielu daje radę i pomoc.

* * *

W taniej restauracyjce „aux chauffeurs”, w porze śniadaniowej, usiadłam przy stoliku. Obok dwóch robociarzy w szerokich, aksamitnych spodniach i takichże kurtkach. Nadsłuchuję, mówią po polsku. Jeden co kilka wyrazów rzuca francuskie zdanie, drugi ciągnie każde słowo, patrząc na salate.

— Józineczku kochany, zielsko nam dają, nieczem bydlu, wińsko chlają nieczem wodę. Rozpijają naród i tyle...

— Psiakrew, que tu es bête... Nie znasz się na polityce. Zboża nie mają, tylko winnice. Muszą je komuś sprzedawać. Nam, etranżerom. Wszystkiego sami nie wypiją... Ja to już jestem zwyczajny. Przebywam we Francji lat 15-cie. Były bająńczyk, s'il vous plait, mam nawet order... Gdy jestem wydymaszowany, to je noszę. C'est chic! Walczyłem jak lew. Jak Napoleon. A wiesz ty kto to był Napoleon? To był jeden taki... Który... Skończyłem!... Teraz to nas pod niebiosą wynoszą, uroczystości różne urządzają... Z ministrami... Monsieur le Ministre, mais oui, Monsieur le Ministre... A wtedy... Prosić się trzeba było, żeby przyjęli, a bić się trzeba było za szczęściu. Powiadam,

jakże citam na imię, abo na nazwisko... W waszej Litwie to ludzie się nazywają jak wsie, wsie jak ludzie... Litwa i Korona. Nie masz to jak Korona! Kongresowiak jestem i basta...

— Nie pij więcej. Józineczku miły... Ta pani oto się wstydzi...

Zaczął cholerować:

— A co jej do tego... Taka mi pani... Może nie chodzić do porządnej restauracji, to mnie nie zobaczy... Powtarzam, jakbym mówił na ostatniej spowiedzi, mało brakowało, żebym to ja leżał tam pod Arc de Triomphe, jako nieznany żołnierz... Nie widać gdzie flika? Tak się tu policjanty nazywają. Szelmy wszystko szpiegują. Co kto gada. Powiadam, leżałbym, a światłość wiekuista paliłaby się dla mnie...

— Jednego pijusa mniej byłoby na świecie...

— I jednego bohatera mniej... Bo ja potem pojechał do Polski i z generałem Weygandem to my oba...

— Zostaw serdecznie trochę sławy Marszałkowi...

Zacząłem się tak serdecznie śmiać, iż musieliśmy zawrzeć znajomość. Jedną z najmiłszych...

W Paryżu jest bardzo wiele cudzoziemskich dokumentów do tłumaczenia, to też są specjalne biura przekładów. Akta pisane są po łacinie, ale jak dać sobie radę z nazwiskami i nazwami? Często więc biorą pomocnice, obcokrajowe. Kiedyś,

gdy odwiedzałam znajomą Polkę, pracującą w takim biurze, przyszła para rodaków, chcąc dać na zapowiedzi. On, ubrany był „z wasze-cia“, ona cała okryta chustą, jakiej się tu nie spotyka. Kandydatka na pannę młodą, widocznie praktyczniejsza, targowała się o zniżkę ceny normalnej, zaś pan młody bawił mnie towarzyską rozmową, chępiąc się swemi sukcesami:

— Jestem tu już bez dwa roki. Z Warszawy rodem, szewiec z zawodu, proszę pani. Znam Paryż i paryżanki. A jakże. Niema bistro, żebym się w niem nie całował. Tu o całowanie bardzo jest łatwo. Jedna taka chciała się za mnie wydać. I wcale nie żadna filla, tylko episjerka. Zakazała u majstra buciki, właśnie na ten czas ja roznosiłem robotę po domach. Buciczki byli z lezardowej skóry, lekkie jak skrzydelka, sam Raoul piękniejszychby nie zrobił. Prosiła, żeby przymierzyć na jej nóżkę i zawołała: „żoli garson“. Że niby jestem ładny. Abo jestem niczego. Na komedji, którą przedstawialiśmy kiedyś, w tej sali... na tej ulicy, pani pewno wie... może mnie pani nawet widziała... grałem panicza i dobrze mi się udało... Zglupiałem i powiedziałem coś babie do słuchu. Jak się żenić to tylko ze swoją... Jakoś się nie składało z tym ślubem, ale teraz niema poco dłużej czekać.

Po kilku latach spotkałam ich na 3-go maja, na przyjęciu w ambasa-

Ochroniajcie

skórę twarzy i ciała przed słonecznikiem i zmianami atmosferycznymi kremem „Ultrasol“ lub olejkim „Negrita“. Ekonomiczne w użyciu, bo nie wymagają częstego wcierania podczas opalania. Szybkie, piękne ciemnienie skóry.

dzie. On był ubrany w komplet wprost od Belle Jardinière, ją widocznie stroiły Trois Quartiers. „Pre-lasowali“ się na fotelach krytych gobelinami, śliczny chłopaczek skakał po deseni dywanu Beauvais. Przy bufecie zachowywali się nader wstrzemięźliwie, czego o innych gościach nie zawsze można powiedzieć.

Poinformowano mnie, że państwo Ogarkowie mają warsztat przy ulicy Arbalète, że dobrze się im powodzi, w paryskim P. K. O. składają „franusie“, dom prowadzą otwarty, rodakom na obczyźnie czynią ojczyznę, są nadzwyczaj ofiarni, służą składką na każde zawołanie potrzeby bliźniego.

Może kogo z tych ludzi spotkam teraz w Warszawie?

Aura Wyleżyńska.

Nasi zagranicą

Poprzeczny drąg granicy pomalowany w białe i czerwone pasy pozostał dawno za nami.

Teraz po dwóch stronach dróg płyną obce łąki i pola, obcojęzyczne, dziwne miasta o trudnych do wymówienia imionach, szeregi domów i ludzi.

Banasia osacza ta obcość. To też trzyma się mocno małego, własnego domu, jakim jest samochód oznaczony literami PI na błotniku. Wszczepił obie ręce w szprychy kierownicy, nogi uwięził na hamulcu i spręgle i trwa tak, nie sięgając myślą w głąb obcego pejzażu, podnosząc wzrok tylko wtedy, gdy trzeba się zatrzymać przy benzynowej pompie. I ani o tem myśli, że tam gdzieś, pozbawieni oparcia własnego, rucho-mego domu, w ulicach gęsto natłoczonych przechodniami, w ciżbie budowl, w przestworzach zbóż i gór są ludzie tak samo jak on zeglujący i błądzący wśród spraw i zdarzeń nieswojego kraju. Że mały czarny znak PI na okrągłej białej tarczy zawiadamia ich o czemś i skrzykuje do nas, jak mała cząstka opuszczonej Ojczyzny.

Niewiadomo kiedy wynikają sploszeni i wzruszeni z za rogu lub z mrocznego wnętrza bramy i glosem pełnym ciekawości i emocji pytają, wiedząc i tak napewno, „z Polski? Polacy?“

Pytał tak niegdyś Sruł z Lubartowa — Szymańskiego na Syberji i wielu Latarników — Sienkiewicza w Ameryce. Błąkała się tak Judymowa z Ludzi Bezdomych, powtarzając bezdźwięcznie niezrozumiałe słowa: „Amsteten, umsteigen“. Ale to jest literatura... Zaś w tym epizodzie życia, jakim jest nasza podróż, na stacji benzynowej w Amsteten rozmawia z nami łamaną polszczyzną człowiek, który tu przemieszczał wiele lat wśród kędzierzawych od lasów wzgórz austriackich. „Tam“ był ostatni raz w wojskowym mundurze, a potem już „tutaj“ się osiedlił. We wspomnieniach zachował rany strzeleckie na linji Styru i rodziną chałupę pod Tarnowem. Niebardzo wiele wie o tej ziemi, którą tak dawno opuścił i gruby „Onkel Fritz“, stojący w kraciastej kurtce przed drzwiami swej oberży, wydaje się od niego bardziej wtajemniczo-

ny: „Ja, ja“ — mówi — „Polen, ja, ja, Warschau! Kenn ich doch! Ausgezeichnete Radiostation!“

Tak, ci wszyscy ludzie spotykani na dalekich szlakach, którzy z błyskiem w oczach biegną nam naprzeciw i przemawiają do nas nieoczekiwanie po polsku z niemiecka, francuska, włoska, niewiele dziś wiedzą o miastach i wsiach, w których przyszli na świat. Często dawno stracili z niemi kontakt, a czasami chcąc się dowiedzieć o wszystkim podczas tej krótkiej chwili, kiedy Banaś, mrucząc coś pod nosem, napełnia bak benzyną, a oni wsparci ramionami o drzwiczki wozu, z nogą na stopniu, podnoszą ku nam rozjaśnione ciekawością twarze. — Czy nie znamy czasem jej siostry, która mieszka w Łodzi i jest za panem Bielikiewiczem — pyta właścicielka pensjonatu w Engadinie. A robotnik w niebieskiej bluzie i welwetowych prążkowanych spodniach, w południowym mieście francuskim, pyta się natarczywie, jak też odbudował się spalony Sochaczew?

Panienska sprzedająca nam obu-wie na Avenue de l'Opéra w Pary-

zu nie umie już wcale po polsku. Miała zaledwie trzy lata, kiedy rodzice jej wyemigrowali z Brzezina pod Łodzią, gdzie tak jak wszyscy chałupnicy, mieszkańcy tego miasteczka, szyli od rana do nocy marynarki, kamizelki i spodnie.

— Czy byliśmy kiedy w Brzezinach? I czy w Brzezinach tak samo jak dawniej szyją spodnie i kamizelki? — pyta jasnowłosa panienska ze sklepu na Avenue de l'Opéra, wążąc w dłoni pantofle firmy Bailly. Ale zato gruby kupiec z Fuldy wie o wszystkim, bodaj że lepiej od nas i o nic się nie pyta. Z czytanych codziennie gazet, z chrypliwych komunikatów radja, z ceduł giełdowych bacznie i dokładnie wylawia wszystkie potrzebne mu wiadomości o kraju, w którym od tak dawna już nie mieszka.

Tem niemniej pędzi za samochodem zziąjamy i pobladły, machając rękami i dysząc, a głos jego jak na alarm rozbrzmiewa na obszernym placu i pod sztachetami zielonego parku.

„Stop, stop, państwo z Polski? Stop, ja jestem z Lublina, z Lublina!” A potem, kiedy zahamowane auto znieruchomiało i kiedy dopędziwszy je stanął koło nas, nie wiedział już co powiedzieć, uśmiechał się tylko, lśnić perłami potu spływającego z tłustej twarzy. I myśmy uśmiechali się serdecznie, przyjaźnie, po bratersku, milcząc.

Cóż właściwie mieliśmy sobie do powiedzenia z tym obcym człowiekiem z Lublina, spotkanym tak przypadkowo. Nie łączył nas z sobą żaden interes. Ani ten, który Bana-

siovi kazał wylawiać żarłocznie wiadomości, sprawozdania, pytania od przypadkiem spotkanych ludzi, którzy nareszcie obracali w ustach słowa jasne i przezroczyście, zrozumiałe wśród wrogiego bełkotu świata, i kazał mu ich zagarniać w ciasne ramy chwilowej zażyłości, żeby móc się wreszcie nagadać po swojemu i dosyta, o pracy i chlebie, o smaku zagranicznego piwa i o tęsknocie do Warszawy.

Ani ten interes, który niektórym śniadym Arabom w turbanach i Turkom w fezach na stoiskach w kramach Wystawy Kolonjalnej dawał się do nas zbliżyć, poufnie szepecząc namowy do kupna i ceny towarów po polsku. Niech no paniusia kupi... Tani towar. Niech no paniusia pozwoli. Co do ceny, to się już zgodzimy... My z Polski...”

Z większością spotkanych na szlakach obcych dróg, polskich ludzi, nie łączyło nas właściwie nic, co by można było wyrazić słowami, ująć w trwałe formy znajomości, czy przyjaźni.

A jednak łączyło nas z niemi bardzo wiele. I z tym człowiekiem co sprzedawał benzynę w Amsteten i z tą panią co prowadziła pensjonat w Szwajcarii, z robotnikiem w Arles, z kupcem z Fuldy, z konduktorem z Pragi Czeskiej.

To coś rodzinne i niepojęte kazało im ku nam biec. To coś wyciągało ku nim nasze ręce gestem powitania. I nizało na nie rozrzewnienia nie tylko rzeźbione herby polskie w Padewskim uniwersytecie, nagrobki polskie we florenckim Santa-Croce, mogiły na Père la Chaise i książki

i obrazy, ale tych żywych ludzi, do których można było powiedzieć zwyczajnie: Jak się macie?

Z tych przypadkowych blahych spotkań, z tych zamienionych tu i tam kilku zdań, z których twarzy, wzniesionych w uśmiechu, których rzęsy zacierały się tak szybko we wspomnieniu — rosło w nas wewnętrznie poczucie pewności na świecie, rozprzestrzenienia na nim bliskiego nam słowa, pocucie, że gdziekolwiek zabłądzimy, znajdziemy w obcym człowieku odprysk znajomej, rodzimej codzienności polskiej.

„Wszędzie, wszędzie na planecie Braci naszej ryty ślad” wypisał to poetycko Zygmunt Kraśński.

Myśmy nie poetyzowali, ani nie filozofowali, ściskając serdecznie spoconą dłoń kupca z Fuldy.

Ale kiedy wreszcie po tygodniach włóczęgi, po dalekich drogach, poprzeczne drągi białe i czerwone zakłócały się za nami i spadły odcinając nas od granicy, poculiśmy pewien brak tego świątecznego nastroju przygodnych spotkań.

Wprawdzie Banaś na pierwszym postoju puścił swobodnie koło kierownicy i śmiało pomaszerował w rodzimą ulicę na piwo, schab i kapustę.

My jednak pozostaliśmy przy wozie, obserwując niewesoło, że biała tarcza z literami PI nie wzbudza już tu żadnej sensacji i że z tłumy mówiącego po polsku nie biegnie ku nam nikt na spotkanie z rozpostartymi ramionami i z uśmiechniętą twarzą.

Hanna Morkowicz.

Kobiety na Kongresie Polaków z Zagranicy

W pracy społecznej, jak w maszynie, istnieją motory, transmisje, tryby, koła i kółeczka. Pani Łucja Kipowa wydawała mi się zawsze kimś z rasy motorów, nie kółek i transmisyj. Nasze drogi krzyżowały się dotychczas raczej na marginesie naszych prac, których styczniemi były wspólne nam obydwoim zainteresowania społeczne i oświatowe. Obserwatorka z zamiłowania i obowiązku publicystycznego, zanotowałam z częstych spotkań z panią Łucją cechy urodzonej działaczki: ruchliwość, energję, bystrość orientacji, szybkość decyzji, drobiazgową sumiennosc w opracowywaniu planu akcji i gorliwość w jego ścisłym wykonaniu. Nic dziwnego. Pani Łucja pracuje społecznie od szesnastego roku życia, głównie w kierunku kulturalno-oświatowym. Brała żywy udział w organizacjach niepodległościowych, w szczególności w Polskiej Organizacji Wojskowej. Odznaczona za swoją działalność w tej dziedzinie Krzyżem Walecznych.

Zaraz po wojnie zetknęła się z pracami Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego i weszła do jego zarządu, jako kierowniczką Sekcji Kulturalno-Oświatowej. W tym charakterze została delegowana do Powszechnego Uniwersytetu Korespondencyjnego. Następnie była założycielką Wydziału Emigracyjnego w Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet. Z ramienia Związku delegowana, jako członek Państwowej Rady Emigracyjnej. Od sześciu lat jest delegatką do Międzynarodowej Konferencji Emigracyjnej w Genewie i obecnie jest członkinią zarządu tejże konferencji. W ubiegłym roku za działalność społeczną na polu emigracji odznaczona została Krzyżem Kawalerskim Polonia Restituta.

Któregoś lata spotkałyśmy się niespodzianie „na wodach” w Montecatini. Obydwie przyjechałyśmy tam na odpoczynek. Pani Łucja po jakiejś konferencji w Genewie, do której była delegowana, jako kiero-

wniczka wydziału emigracyjnego Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet, a ja po całym roku pracy redakcyjnej.

Miedzy jednym a drugim kubkiem gorącej wody mineralnej, podawanej przez śliczne tokańskie dziewczęta w jednakowych sukienkach w białe i szafirowe pasy, przechadzając się w cieniu marmurowego portyku, przy plusku fontann, huku włoskiej patetycznej orkiestry, gwarze różnojęzycznych tłumów, próbowałyśmy we dwie skonstruować wspólnie wywiad o jej misji genewskiej.

Wspominam go jeszcze dziś — ten nasz niedokończony wywiad, notowany na rozkładzie wycieczek autobusowych do Sienny i do Gemignano. Stanowczo pani Łucja za wiele miała mi do powiedzenia i za nadto przeszkadzało nam włoskie słońce, na które obie jednako byłyśmy czułe.

Niezrażona tem niepowodzeniem po raz drugi przycisnęłam panią

Łucję o wywiad, tym razem jako przewodniczącą Komitetu Przyjęcia Kobiet Polskich z zagranicy w ramach ogólnego Komitetu Przyjęcia Polaków z Zagranicy. Tło naszej rozmowy było zgoła odmienne, choć też cechowała je tymczasowość. Widny, czysty pokój w hotelu sejmowym, trochę purytański przy całym swym nowoczesnym komforcie, oto tegoroczna kuźnica pani Łucji.

Mimowoli szukam wzrokiem stołu zarzuconego papierami, terkoczącej maszyny do pisania, warcącego gniewnie telefonu i miotającej się w tym zgiełku i chaosie kobiety-działaczki.

Spotyka mnie zawód. Stół wprawdzie jest, ale goły, bez dokumentów, kopii, komunikatów i wycinzków. Ani maszyny do pisania, ani telefonu na bliższym horyzoncie. Całą historję Komitetu Przyjęcia, jego teraźniejszość i przyszłość zainkneła pani Łucja w zielonej tecze, podzielonej kunsztownie na szereg przegródek, tak że od razu można trafić do właściwego papieru. Przekonałam się naocznie o doskonałości tej metody, gdy w ciągu naszej rozmowy nieraz trzeba było stan faktyczny sprawy poprzeć dokumentami.

Nie przeszkadzało nam ani włoskie słońce, ani musujące źródła, ani Aida Verdiego. Można było się skupić i skondensować w pytaniach i odpowiedziach.

— Jakie miejsce w Światowym Zjeździe Polaków z Zagranicy zajmują kobiety?

— W Radzie Organizacyjnej Polaków z Zagranicy, która stanowi Komitet Zjazdu, kobiety dotychczas nie były reprezentowane, ponieważ udział ich na pierwszym Zjeździe był tak słaby, że przy wyborach nie weszły w skład Rady. Również i stan organizacyj kobiecych polskich zagranicą przedstawia się dotychczas raczej słabo w porównaniu z organizacjami męskimi, jak również i w ramach organizacyj mieszanych. Dlatego też Rada Organizacyjna, przykładając szczególną wagę do zintensyfikowania życia społecznego wśród Polek zagranicą, utworzyła specjalny Komitet Przyjęcia Kobiet Polskich z Zagranicy. Komitet ten pozostaje pod moim przewodnictwem i jako część ogólnego Komitetu zjazdowego pracuje w najściślejszym kontakcie ze wszystkimi komórkami Zjazdu.

— Dlaczego w całości Zjazdu wyodrębnia się udział kobiet?

— Nie kierują nami żadne hasła feministyczne, nie mające istotnie w danych warunkach najmniejszej racji bytu. Idzie nam natomiast o to, by wykorzystać Zjazd dla możliwie bezpośredniego i serdecznego zbliżenia się tych rzesz kobiecych, które z racji Zjazdu ze wszystkich



P. Lucja Ripoma.

stron świata zjadą do „Starego Kraju“, by zużytkować tę atmosferę entuzjazmu, jaką Zjazd wytworzy, dla zadzierzgnięcia mocnych nici pomiędzy nami, Polkami w kraju a naszymi siostrami Polkami z zagranicy.

— Jaki jest program działalności Komitetu Przyjęcia?

— Musimy tu odróżnić bardzo wyraźnie kobiety, które przybędą na sam Zjazd w charakterze delegatek poszczególnych terenów, od tych mas kobiecych, które przyjadą do Polski z okazji Zjazdu w ramach wycieczek. Na pierwszym Zjeździe w 1929 roku przybyło dziesięć kobiet delegatek.

Ilość kobiet, które przyjadą na Zjazd tegoroczny w charakterze czy to delegatek, czy rzeczoznawczyń, będzie znacznie większa. Wobec liczniejszych zgłoszeń, Komitet Zjazdu postanowił zorganizować w ramach Zjazdu osobną Konferencję Kobiet o charakterze zamkniętym. Na konferencji tej delegatki różnych krajów Ameryki i Europy będą miały okazję zetknąć się ze sobą na wspólnej platformie, wspólnie przejrzeć prace, przez kobiety polskie w różnych krajach dokonywane i zastanawiać się razem nad kierunkami, w jakich działalność ich rozwijać się może i powinna.

— A jaki pani przewiduje udział kobiet w zamierzonych wycieczkach, organizowanych przez Polonję zagraniczną?

— Spodziewamy się, że tegoroczne wycieczki przewyższą swą ilością wszystkie dotychczasowe i przyczynią się ogromnie do uświetnienia Zjazdu. Ilość kobiet w tych wycieczkach będzie wynosić około 800. Kobiety te pragniemy otoczyć w ciągu całego ich pobytu w Polsce tak serdeczną opieką, by zapomniały o latach dzielącej nas odległości i natychmiast odczuły, że znajdują się wśród sióstr, które szczerze i gorąco pragną zjednoczyć się z nimi we wspólnej pracy dla ukochanej Ojczyzny.

— W jakich formach organizacyjnych uzewnętrznia się ta opieka?

— Przewidujemy tu w pierw-

szym rzędzie przydzielenie do każdej kwatery kobiecej pewnej ilości osób, które przez cały czas pobytu wycieczki w danym mieście służyć będą przybyłym kobietom swą radą i pomocą. Dużą wagę przykładamy również do tego, by Polki z zagranicy obok zwiedzania wspólnego obiektów, dla wszystkich narówni ciekawych, miały także sposobność zapoznać się z placówkami pracy społecznej, leżącej na linii ich zainteresowań. Dlatego też ułożyliśmy szczegółowy plan zwiedzania. Ponieważ wycieczki stosunkowo najdłużej zabawią w Warszawie, więc też w stolicy urządzimy uroczystą akademię dla kobiet. Akademię tę obiecały nam uświetnić swoją obecnością pani Prezydentowa i pani Marszałkowa Piłsudska. Oprócz tego i pani Prezydentowa i pani Marszałkowa obiecały nam urządzić przyjęcie dla przybyłych kobiet z zagranicy.

— A jak wygląda sprawa przyjęcia kobiet na prowincji?

— We wszystkich większych miastach, które mają zwiedzić wycieczki, zostały już utworzone komitety przyjęć. Staramy się o to, by w skład każdego z tych komitetów lokalnych weszły panie, pozostające w bliskim kontakcie z nami i by w każdym z tych miast zajęły się również w miarę swych możliwości przybyłymi kobietami.

— Czy w ramach obrad zjazdowych zagadnienia kobiece znajdują jakikolwiek wyraz?

— Owszem. Na pierwszym posiedzeniu Komisji Społecznej Zjazdu, jako jeden z trzech referatów ogólnych, przewidziany jest mój referat o pracy społecznej kobiet polskich zagranicą. W myśl ogólnych zasad, obowiązujących wszystkie referaty zjazdowe, ma to być referat syntetyczny, po którym dopiero wyłoni się dyskusja i ustalone zostaną tezy działalności społecznej organizacyj kobiecych zagranicą.

— Czy przewiduje pani, że, zapoczątkowany na Zjeździe, kontakt z Polkami zagranicą przybierze po Zjeździe postać jakiejś stałej współpracy?

— Istotnie. Liczymy na to, że Zjazd wyłoni przy Światowym Związku Polaków specjalną komórkę kobiecą, przeznaczoną do zespolenia z jednej strony wszelkich kontaktów kobiet polskich z zagranicy, z drugiej — wszelkich inicjatyw i wysiłków społecznych kraju w stosunku do kobiet z zagranicy.

Mamy nadzieję, że te serdeczne węzły, zadzierzgnięte w czasie Zjazdu, będą stanowiły trwałe fundament pod tę wspólnotę duchową, łączącą nas, kobiety-Polki z całego świata w jedno ognisko godności i dumy narodowej.

Stefania Podhorska-Okolów.



„Amerykańczyki”

Polskie wojsko amerykańskie!

Z przepaścistej jak Arka Noego szuflady biurka wypadają stopy fotografii wojennych z lat tak niedawnych, a tak już dawnych, już kurzem nowych wydarzeń przysypianych, uniesionych w dal rwącą talą potoku nowego życia.

Zatrzymać ten bieg — wspomnieniem?

Zima roku 1920. Polska odradzająca się, skrwawiona, walcząca na wszystkich frontach. Bezkresne pola śnieżne na Wołyniu i rozrzucona tyraljera mundurów błękitnych...

44 p. p. Strzelców kresowych.

Polacy z Ameryki.

Z nieznanego doprawdy dla nas świata, ubrani dostatnio, guzik w guzik, rzemień w rzemień, wypolerowani stalą błyszczącą w słońcu, ogoleni, bezwasy, jakże różni od naszego szarego wojska, odzianego w mundury z pokrzywy, obdartego, bosego nieraz, w kamizelkach z gazet starych „dla ciepła”.

„Amerykańczyki” kochane, jakieśmy ich nazywali! Trzy lata szli do tej Polski, by walczyć o jej wolność. Przebyli lądy i morza, krwią swoją zboczyli pobojowiska Francji, lasem krzyżów znacząc drogę do Ojczyzny.

Gdy w czerwcu 1917 roku dekretem Poincaré’go została utworzona armia polska we Francji, na wieść tę wszyscy Polacy, walczący w szeregach francuskich, wystąpili z nich łącząc się w wojsko polskie. Poprzez Atlantyk radosną wiadomość zawiózł rodakom do Ameryki Gąsiorowski. Wezwanie szerokiem echem odbiło się w sercach amerykańskiej Polonji i w Chicago, Detroit, Pittsburgu, Bufallo i innych miastach Ameryki odbyły się staraniem Związku Nar. Polaków meetingi (wiece), na których uchwalono organizować oddziały polskie i

wysyłać je do Europy. Powstały obozy ćwiczebne, gdzie ochotników organizował pułkownik francuski i w przeciągu miesiąca trzy pierwsze bataljony załadowano na okręt. Czuwał widocznie nad nim Bóg i Królowa Korony Polskiej, prowadząc dzieci polskie wśród pól minowych i strzegąc przed napaścią niemieckich U-Bootów, gdyż transport wylądował szczęśliwie na ziemi francuskiej i tu niebawem przeszedł chrzest ognia i krwi. Za pierwszym transportem poszły dalsze: dwie dywizje Maćków, Bartków, Stachów i Tadeuszów znalazły się niebawem we Francji, zmagając się z odwiecznym, wspólnym wrogiem i w walce tej zdobywając liczne wawrzyny.

Nastąpił rozejm na froncie zachodnim. A gdy w Europie waliły się w gruzy monarchje, Ameryka zaczęła wycofywać swoje oddziały z Francji.

„Wojsko błękitne” postanowiło nie spocząć na laurach, ale iść na ratunek zagrożonej Ojczyźnie.

Wszakże bezbronna Małopolska walczyła o swą przynależność państwową, śląc na front dzieci i kobiety... Wszakże na Wschodzie rozpalala się nowa łuna pożarów nawały bolszewickiej... Nie poto Amerykańczyki nasze przebyły Atlantyk i wojowały z „boszami”, by teraz wracać do Chicago, Detroit, Pittsburga, Bufallo i t. d.

Gdzieś, w wyższych sferach targowano się długo o polską sławę... Wojna skończona, murzyn zrobił swoje, murzyn może odejść... Część polskich żołnierzy odesłano do Ameryki.

Ale część skierowano do Polski. Pociągiem wprost z Francji na front wołyński.

— Nie pozwolono nam nawet za-

trzymać się w Warszawie. Nie widzieliśmy stolicy! — skarżyli się Amerykańczyki z 44 p. p.

Trudno. Nie ujrżeli wówczas stolicy. Nie takie były czasy, by można sobie było pozwolić na zwiedzanie. Wołał ich wtedy twardy rozkaz wojny do krwawego znoju na rubieżach Rzeczypospolitej.

I te „Amerykańczyki”, ubrane jak lalki w błękitnych mundurach, okazały się doskonałymi żołnierzami.

Pod chmurnym niebem Ojczyzny walczyli jak lwy, odchwalić ich się nie mógł dowódca pułku mjr. Arnold Szylling.

W pożółkłym notesie mam zapisane sporo nazwisk „Amerykańczyków” i prośby ich, by wyszukać im w Polsce — żony.

Żądają: Polek blondynek, brunetek, inteligentnych, wesółych, dobrych, resztę pozostawiając do uznania właścicielki notesu.

Prośby ich nie spełniłam, bo wkrótce rozpętała się nad Polską nawałnica bolszewicka, kiedy nie pora była myśleć o swataniu.

W burzy tej wojsko błękitne ucierpiało bardzo. Pozostał strzęp, ale strzęp chwałą okryty.

*
* *

Nie wiem, kto wychował Was, amerykańskie wojsko błękitne? Czy nauczycielka w szkole, czy ojciec, czy matka. Ale myślę, że tak kochać Ojczyznę potrafi nauczyć tylko matka. I że chcieliście mieć żony Polki, przez pamięć matki waszej.

Teraz „Amerykańczyki”, przyjeżdżacie statkiem polskim, do polskiego portu, do Warszawy, stolicy Rzeczypospolitej naszej. A że nasza — to i wasza w tem zasługa.

Janina Łada Walička.



Pomoddzianie

(fot. Ryś.)

Dramat wyobraźni

Co słyszę, przyzwyczailam się widzieć. Jakże boleśnie sztuka ta przydaje się teraz! Opisy czytane w gazetach układają się w żyjące sceny! W dzień człowiek istnieje odruchem przeciętnie szarej rzeczywistości, ale zamknięty od deszczu, jadąc w klatce tramwaju, zbiera materiał do tragicznego misterjum, które rozegra noc.

Leżę w łóżku, jak nigdy wygodnem, a bohaterzy bezsenności pracują przy świetle reflektorów, które czasem zabłysną i w moim pokoju. W wodzie po pas, pracują bez nocnych i dziennych zmian, doba ich wydłuża się do 48 godzin, przekracza więc wszelkie normy wytrzymałości. Naprawiają mały, budują reduty, starowią barykady, gotowi do walki z wrogiem, który nadciąga. Nieprzyjaciół zbliża się zdaleka, tylko nauce daje wiedzieć: będę tu w takim a takim czasie, w wielkiej sile, wzmożę szeregi moich fal. Biuletyny te wyprzedzają najazd najpierw o kilka dni, potem o kilka godzin. Uczni w laboratorjach wiedzą, jaka jest siła śmiertelności narzędzi, obrońcy na froncie starają się zapobiec naporowi, powstrzymać cios, albo goić poczynione już rany.

Nasłuchuję, czy pada deszcz. Pada. Pieniądz podobno ciągnie pieniądz, czasem miłość magnetyzuje miłość, badacze twierdzą, że woda wabi wodę. Nie dość jej na ziemi, zlatuje z nieba. Kraj nasz stał na miejscu, teraz płynie. Ludzie zasiedzieli przenosić się muszą na łodzi, odejść od źródła swej pracy, zmienić dom, bydło zamiast do obory, prowadzić na tratwy. Jedni uciekają za pierwszym sygnałem niebezpieczeństwa, inni bronią się do ostatniej chwili, nie chcą opuścić schronisk, choć już pod stopami mają tylko dach. Gadzina niech też razem z nimi czeka końca! Albo od nowa rozpoczętego życia — bez chaty, na zamulonej ziemi. Jak w czasie wojny, zewnętrzną pomoc przyjmuje się wdzięcznie lub wrogo.

Każdy z nas jest trochę człowiek pierwotny, ostatnio widziany obraz rozszerza na cały świat. Czy nieвинny Świder, miejsce dziecinnych kąpiel, który od biedy przejechać można wozem, też stał się groźny? Tak niedarowo na nadbrzeżnych łąkach kosili siano. Nadchodził sobotni wieczór, spieszo się więc przed niedzielą nocą na szczyt stołu włożyć nieprzemakalny kołpak.

Dzwonią! Długo, ciągle. Co to jest? Alarm? Wstawajcie wszyscy! Nie wolno spać tym, co mogą spać, gdy mogą spać ci, którzy padają ze znużenia. Nie, to sygnaturka z kościoła śm. Jakóba, zwołuje na doroczne 40-godzinne nabożeństwo. Gdy w normalnym czasie dzień i noc, dzień i noc należy błagać Boga o zmiłowanie, ileż godzin trzeba by się teraz modlić, żeby przyszedł dobroczynny miatr i rozegnał chmury? Wiatr posiada podwójną moc: nad burzą i nad pogodą.

Jest potop. Znam go przecież z kina. Do arki Noego parami wchodziły zwierzęta i parami wychodziły na dany znak. Czekam znaku. Jeśli po zbudzeniu usłyszę trzepanie dywanów, to dowód, iż normalne życie wkrótce wróci. Jeśli z głębi podwórza, pełnego kwiatów, jak gdzieś indziej ogród, przyleci radjowy śpiew: „Kiedy ranne wstają zorze”, to niby gałązka oliwna zapowie on bliskie nadejście opadnięcia wód... Ale deszcz pada — bezlitośnie. Nie słysząc nic prócz bicia o szuby wielkich, złych kropli.

Uwieram się i zjeżdżam minda po gazetę. W żelaznej skrzyneczce czekają nieomal wojenne wieści. Choć jakiś optymista donosi, iż „nastrój ludności jest spokojny”. Może wystarczy im, że nie zginęli? Dobrze jednak wiemy, że wkrótce życie ich postawi wymagania. I że tym wymaganiom my, nasza wydatna pomoc moralna i materialna, musi sprostać. Powinniśmy dobrze wiedzieć, że jest źle. Do morza leż, które kraj mylewa, dodać nasze. Ale oczy są suche. Choć dramat wyobraźni bardzo boli!

Aura Wyleżyńska.

Na froncie powodzi w Wilanowie

W głównej bazie drużyn ratowniczych Polskiego Czerwonego Krzyża przy ul. Trębackiej panuje duże ożywienie. W związku z katastrofą powodzi, P. C. K. uruchomił na obszarze woj. warszawskiego 3 punkty ratownicze, w Siekierkach, na Pelcowiznie i w Wilanowie. Gdy przyszedł na Trębacką, dowiedziałam się, że niebawem wyruszy samochód, aby zawieźć żywność i oddział drużyniaków, mających zluźować przemęczonych pracowników na „froncie” powodzi.

Dzięki uprzejmości majora dr. Wirszyłło, prezesa stołecznych drużyn ratowniczych, zajmuję miejsce w samochodzie. Dostaję zielony, żołnierski płaszcz i niebawem wyruszamy półciężarowem autem, na którym powiewa flaga Czerwonego Krzyża.

Półciężarowe auto pędzi po oświetlonych ulicach Warszawy w stronę Wilanowa. Po drodze „wstępujemy” na Pragę, na ul. Żabkowską, gdzie w szkole powszechnej mieści się główny kwaterunek oddziałów P. C. K. Tudaj dostajemy żywność, tutaj wskazują do samochodu ochotnicy, którzy stale dyżurują na Pradze, gotowi na każde wezwanie nieść pomoc ofiarom powodzi.

Na Trębackiej zatrzymujemy się. Część drużyniaków udaje się do

centrali, reszta jedzie do Wilanowa. Koło naszego samochodu zbiera się grupka ciekawych.

— To drużyniacy — odzywa się ktoś z publiczności.

Dr. Wirszyłło siada koło szofera. Samochód rusza z miejsca. Pędzimy przez Nowy Świat, Aleje i zjeżdżamy na Belwederską. Nie wiem, jak długo trwa podróż. Myślamy jesteśmy wszyscy już na miejscu. W ciemnościach, rozjaśnionych tylko blaskiem gwiazd, zdaje się nam, że woda jest tuż blisko, że za chwilę zobaczymy okropny żywioł, który sprawił klęskę, nienotowaną w Polsce od przeszło stu lat...

Zatrzymujemy się wreszcie przed parterowym domkiem, przed którym powiewa chorągiew P. C. K. W świetle smolnej pochodni wita nas miła twarz siostry Ireny i dr. Niekraszewicz, komendant ośrodka.

Chociaż dr. Niekraszewicz już 3 noce zrzędu trwa na posterunku, kategorycznie odmawia powrotu do Warszawy.

— Nie jestem zmęczony — oświadcza. — A zresztą czyż mógłbym zasnąć, wiedząc, że tysiące ludzi jest pozbawionych dachu nad głową?

Energja i zapal błyszczą w jego oczach, tylko w kącikach ust czai się zmęczenie. Nic dziwnego. Praca w ośrodku wymaga wiele sił.

Siostra Irena również nie chce słyszeć o powrocie do Warszawy. Chociaż ślania się na nogach, pełni samarytańską służbę z oddaniem i zaparciem siebie.

— Wszyscy pracujemy jednakowo — mówi komendant ośrodka. — Siostry C. K., drużyniacy, drużyniaczki. Wiele osób zgłasza się do nas, ofiarując środki pieniężne, dary w naturze lub własną pracę.

I rzeczywiście. Spotykam na posterunku pastora ewangelickiego który obiecuje przynieść nazajutrz żywność i zapowiada przyjście żony i siostry, które chcą się zaciągnąć pod sztandar samarytański. P. Jeleniowa, b. urzędniczka Prezydium Rady Miejskiej spędza swój urlop na posterunku, nie obawiając się zepsuć białych rąk najgrubszymi robotami.

— Chodźmy do powodzian — proponuje dr. Niekraszewicz.

Idziemy wąską dróżką. Na niebie wije się wśród gwiazd fioletowa smuga światła, które nieustannie wyrzuca reflektor, ustawiony na wale. W sali strażackiej, zamienionej ad hoc na schronisko dla bezdomnych, na ziemi leży kupa słomy. W powietrzu unosi się zapach potu ludzkiego.



Ratowanie siana.

(fot. Ryś.)

Powodzianie śpią. Leżą na uratowanych poduszkach, nierozebrani śpią twardo i nie budzi ich nasze wejście. Może śnią o katastrofie, która kazała im opuścić domostwa, a może o minionych chwilach spokojnego życia i normalnej pracy?...

— Wydaliliśmy dzisiaj przeszło 200 obiadów i kolacyj — mówi dr. Niekraszewicz. — Część powodzian nocuje tutaj, część umieściła się u sąsiadów. Wszyscy jednak przychodzą do nas na posiłki...

— Niektórzy siedzą na wale i nie chcą stamtąd się ruszyć — dodaje p. Jeleniowa. — Patrzą przed siebie tępym wzrokiem, pragnąc nasycić oczy widokiem zalanych chat, zniszczonych pól...

Gdyśmy wrócili do ośrodka, zastaliśmy starostę Skórewicza, który wydał rozkaz, aby natychmiast jechać na wał i zawieźć żywność robotnikom.

— Od rana nic nie jedli! — woła. Zanim przebrzmiał rozkaz, już nasze auto półciężarowe jest gotowe do odjazdu. Wieziemy bańki z herbatą, trochę wody i chleba. To wszystko. Nie mamy więcej żywności. Reszta nadejdzie dopiero jutro...

Jedziemy po rozmięklej drodze, zapadamy w błoto, to znów skaczemy na wyboiskach. I nagle oczom naszym przedstawia się niesamowity widok. W szmaragdowym świetle reflektorów wykwiła przed nami jasna smuga wału, po którym snują się postacie, podobne do skrzydlatych istot z bajek czarodziejskich. Worki z piaskiem dla wzmocnienia wału sprawiają wrażenie zamaskowanych wejść do czarodziejskich pieczar. Wody nie widać.

— Więc to ma być front powodziowy? Tutaj szaleją rozpętane ży-

wioły, które ze spokojnej łachy wiślanej uczyniły narzędzie niezrozumiałej, potwornej zemsty bogów? — myślę ze zdumieniem.

Nie mam czasu na długie rozmyślanie. Tłum ludzki w zawałanych ubraniach otacza nasz samochód.

— Jeść — zdają się mówić ich oczy. — Jesteśmy głodni.

Nie mają czasu czekać. Na szczęście mamy żywność. Rozdajemy wszystko do ostatniej okruszyny chleba...

Wchodzę teraz na wał, stąpając ostrożnie po workach piasku, które szmaragdowa poświata księżyca zmienia w aksamitne poduszki. I zaraz w moje uszy wpada miarowy, głuchy pomruk rwącej łachy wiślanej, a skrzydlate istoty z łopatami w rękach pracują bez wytchnienia. W dole widzę nareszcie wodę. Jest brudna, wydaje obrzydliwą woń. 8 wiosek jest pod wodą. W świetle reflektora widzę strzechę jakiejś chaty; między drzewami, które do połowy tulą brudne fale wody, strzela w górę jakiś złotawy punkt.

— Żdźbło żyta — słyszę za sobą czyjś głos.

Reflektor zatacza koło. Widzę teraz wyraźnie więcej dachów chat, krytych słomą i jakieś postacie siedzące na dachach. To wieśniacy, którzy nie mogli się rozstać z ojcowizną. Podobno na jednym dachu siedzi cała rodzina. Rwący prąd nie pozwala pojechać łódkom. Niema więc możliwości dostarczyć im pożywienia. Powodzianie nie chcieli przedostać się na brzeg. Woła zginąć ze swoją ojcowizną...

— Nareszcie sytuacja jest opanowana — tłumaczy p. Bronikowski, inżynier, kierujący robotami na wale. — Ale przeżyliśmy straszną chwilę. Wieczorem wał w pewnej chwili zarwał się w jednym miejscu. Woda



Mały rozbitek w opuszczonej chacie.

(fot. ...)

zaczęła przeciekać. Jednocześnie reflektor zgasł. Nie było chwili do stracenia. Normalnie worek z piaskiem podnosi z trudem 3 ludzi. W chwili niebezpieczeństwa jeden człowiek brał na plecy ciężar, przewyższający jego siły, „latał” dziurę i zwał się jak kłoda na wał. 36 p. p., robotnicy, ochotnicy, których tutaj nie brak, wszyscy pracowaliśmy 15 minut bez wytchnienia. Ale udało się nam „załatać” dziurę.

Wracamy do ośrodka. Trzeba przygotować śniadanie dla robotników.

W ośrodku wszyscy śpią. Tylko rozstawione warty i smolne łuczywo przekonywa nas, że pomimo pozornej ciszy, ośrodek czuwa, gotowy na każde skinienie...

Siadamy w świetlicy, a właściwie wilgotnej izdebce, która służy jako kancelarja, spiżarnia, w razie potrzeby i ambulatorjum. Nasi gospodarze, widząc, że ich prośby, abym się położyła, nie odnoszą skutku, rezygnują z 2 godzin odpoczynku i bawią mnie rozmową. W ich ustach ich wysiłki wydają się proste i naturalne: i dobrowolne rozstanie się z wygodniami, kulturalnymi warunkami, i ta praca nad siły ludzkie...

— Wielu ochotników przyjeżdża do nas na noc, a dzień spędzają w biurach lub warsztatach — opowiada dr. Niekraszewicz.

O świcie idziemy do parku wilańskiego. Pachnie świeżą ziemią.



Saperzy ratują powodzian i ich dobytek.

Cudną woń wydają szkarłatne róże. W dali słyszę kukanie kukułki...

Biały pałac śpi, chociaż dolny park jest zalany wodą i podobny się stał do niesamowitej dżungli. Drzewa toną w wodzie. Niektóre sprawiają wrażenie karłów, bo tylko rozłożyste gałęzie unoszą się nad wodą.

— Chodźmy na wał — proszę.

Chociaż dr. Niekraszewicz i p. Jeleniowa są napewno zmęczeni, idziemy na wał. Reflektor jest zgaszony i dopiero teraz widzę brudną wodę, na której pływają różne przedmioty. Widzę również dach, na którym skupiła się cała rodzina. Widzę i „zacierowaną dziurę” w wale.

— Życie Warszawy wisiało na włosku — uśmiecha się inż. Bronikowski.

Nie mamy niestety czasu pozostać długo na wale. Trzeba robotnikom dać śniadanie. Siedzą teraz na workach z piaskiem lub leżą, korzystając, że woda opada.

— Dacie nam jeść? — pyta jakiś młody chłopak.

— Damy — odpowiadam.

Gdy wróciliśmy do ośrodka, praca już się rozpoczęła. Harcerki obierają kartofle, drużyniaczy grzeją wodę. Siostra Irena jedzie po mięso i chleb.

Nieobecność jej trwała 2 godziny. Dr. Niekraszewicz nie mógł usiedzieć ze zdenerwowania.

— Robotnicy są głodni — powtórzał co chwila. — Dlaczego siostra nie wraca?

Wreszcie słyszymy sygnał samochodu i niebawem auto półciężarowe zatrzymuje się przed ośrodkiem. Wychodzi z niego siostra Irena, zapłakana, zdenerwowana. Nie mogła dostać prowiantów w Wilanowie. Musiała jechać do Warszawy...

Nie słuchamy jej opowiadania. rzucamy się na świeże bochenki chleba, na kielbasę. Noże migają w palcach, nasze palce są pokryte odciśkami i pęcherzami. W niespełna

10 minut 200 porcyj jest gotowych. bańki z herbatą stoją już na samochodzie.

Jedziemy.

Rozdawanie żywności odbywa się spokojnie. Mamy dosyć jedzenia. Robotnicy nie są tacy głodni. Uśmiechają się, przepraszają za swoje nocne zachowanie. Tłumaczą, że byli przemęczeni, zgłodnieli, nie wiedzieli, czy ich wysiłki nie pójdą na marne...

— Tutaj było pole — tłumaczy jeden z nich, wskazując na pasmo brudnej wody. — Pamiętam, chodziłem przeszłej niedzieli na spacer z narzeczoną...

Podchodzi do nas zapłakana kobieta i prosi o kawałek chleba.

— Mój mąż siedzi na dachu chaty — opowiada ze łzami w oczach.

— Cemu nie idziecie do ośrodka? — pyta doktor.

Kobieta podnosi rozpaczliwie ręce do góry.

— Jakże to? — woła z oburzeniem. — Przecież tam moje wszystko...

Wskazuje na polać brudnej wody, na żdźbło żyta, sterczące między drzewami, na kawałek płotu, zalany wodą...

Jedziemy walem do ośrodka. W pewnej chwili zatrzymujemy się, aby nakarmić telefonistów. Z jednej strony wału widzę obejście wiejskie, zalane wodą, z drugiej wykwiła biała, śliczna chatka, otoczona ogródkiem, pełnym różnokolorowych kwiatów. Gdyby nie heroiczny wyczyn drużyn ratowniczych, gdyby nie szybkie „załatanie dziury”, czyściutkie obejścia przykryłaby płachta brudnej wody...

Wracamy do ośrodka zmęczeni, ale w doskonałych humorach.

— Woda opada! — wołamy od progu.

Uśmiecha się siostra Irena, uśmiecha p. Jeleniowa, zajęta zmywaniem naczyń. Uśmiechają się drużyniaczy, drużyniaczki, nawet chorągiew powiewa weselej. Pastor ewangelicki

przywiózł żywność, jego żona i siostra krają surowe mięso, harcerze rozpalają ogień.

Trzeba już wracać do Warszawy, ale przed wyjazdem wstępujemy na chwilę do szopy. Powodzianie już nie śpią.

— Panie doktorze, gardło mnie boli — woła jakiś mężczyzna.

Drugi nic nie mówi. Patrzy tępych wzrokiem przed siebie.

— Tętno ma bardzo słabe — szepcze drużyniak.

Doktor ma coraz więcej pacjentów. Chociaż ręce opadają mu ze zmęczenia, nie pokazuje po sobie zdenerwowania. Z miłym uśmiechem na młodziutkiej twarzy, który zjednywa mu wszystkich, zaczyna badać chorych.

— Całe Zawady pod wodą — skarży się starsza kobieta w czarnej chustce, z pod której wysuwają się siwe kosmyki. — Chałupę miałem własną, kartofle, żyto, parę kiecek... Woda wszystko zabrała...

— I mnie — dodaje stojący koło niej wieśniak.

Doktor skończył badać pacjentów. Są zaziębieni, przezieleni. Podobno jakieś dziecko zachorowało na zakaźną chorobę...

— Mamy już dzisiaj izolatkę — objaśnia. — O epidemję w takich warunkach nie trudno...

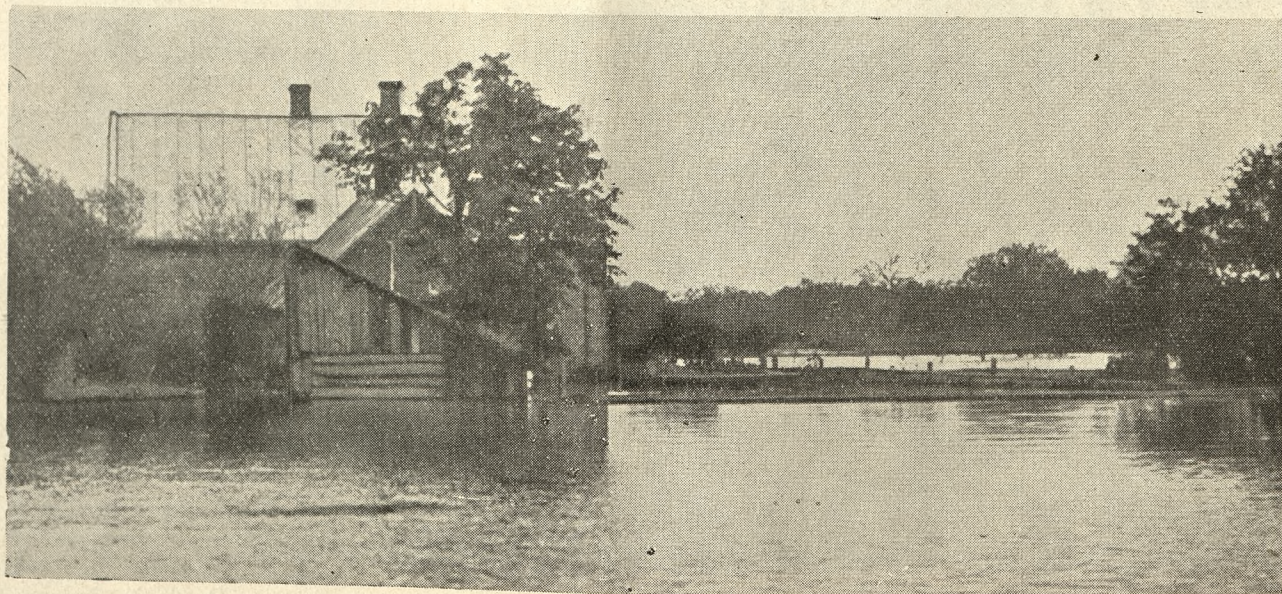
Trzeba wracać do Warszawy. Czynie to niechętnie. Tak dobrze mi było wśród ludzi, którzy poszli za głosem serca! Zapomnieli o sobie, nie myśleli o trudach i niewygodach, związanych ze służbą samarytańską, z walką z rozszalałym żywiołem...

— Dowidzenia bohaterom ośrodka — rzucam ostatnie pożegnanie wilgotnej kuźni, zmienionej ad hoc na posterunek P. C. K. — Dowidzenia dobrowolni pracownicy!

— Dowidzenia! — ktoś odpowiada.

A dr. Niekraszewicz dodaje. — Mamy dzisiaj wyżywić 400 osób. Byleby tylko starczyło jedzenia!...

St. Osieńska.



Pani Marja Kryszakowa

Kiedy z panią Kryszakową poraz pierwszy zamieniliśmy parę zdań przez telefon, miałam wrażenie, że rozmawiam z Wielkopolanką, albo Pomorzanką, wogóle z kimś z pod dawnego zaboru pruskiego. Ucho moje chwyciło znajome zwroty i akcenty, utrwalone świeżo w pamięci niedawną wycieczką do Gniezna.

Ucho mnie nie myliło. Oko potwierdziło trafność słuchowego wrażenia. Kiedy ogarnęłam wzrokiem rosłą i tęgą postać pani Kryszakowej, bliźniaczko podobną do tych sylwetek kobiecych, które się widuje na ulicach Gniezna, Torunia, Grudziądza i Tczewa, kiedy przez okulary spojrzały na mnie bystre, rozumne i spokojne źrenice, a dłoń moja spoczęła w pewnym zwartym uścisku mocnej ręki, tak odmiennym od naszych nerwowych, pośpiesznych „starokrajskich” uścisków, rozwiały się wszelkie wątpliwości: Wielkopolska lub Pomorze były kolebką amerykańskiej działaczki z Chicago.

To też z pewnem zdziwieniem przyjął wiadomość, że pani Kryszakowa urodziła się w Stanach.

— Czy być może?!

— Ależ tak! Moi rodzice bardzo wcześniej wyemigrowali z kraju i pobrali się już w Ameryce.

— A skąd pochodzili?

— Z Zachodnich Prus. Pamiętam, jak ojciec adresował listy do rodziny: „Westpreussen”. W domu mówiliśmy po polsku, ale mało co od rodziców o Polsce słyszałam. Polska była w niewoli i widać, że ciężko im było w kraju, skoro go opuścili. Skończyłam polską szkołę parafjalną, a później doksztalcałam się sama: przez czytanie, przez słuchanie przygodnych wykładów polskich nauczycieli. Jako młoda dziewczyna wcześniej jęłam się pracy społecznej, bo był we mnie od młodości taki pęd, żeby nie iść w szeregi, tylko stać na czele i prowadzić innych. Jednocześnie wciągałam się do pracy dziennikarskiej w pismach polskich.

— A jak pani udało się pogodzić te zainteresowania z życiem rodzinnym?

— Doskonale. Mąż mi nie przeszkadzał w pracy dla ogółu, a nawet bardzo życzliwie ją traktował. Wychowanie dzieci zajęło trochę czasu, ale teraz, kiedy już są dorosłe, mogę go całkowicie oddać sprawom społecznym i redakcyjnym.

Pani Kryszakowa jest redaktorką pisma „Głos Polek”, mającego 60 tysięcy prenumeratorów.

— Imponująca cyfra! — mówię z zazdrością. — W naszych warunkach



Marja Kryszakowa.

kach jest ona niedościgniętym marzeniem.

Pani Kryszakowa uśmiecha się pobłaźliwie i wyjaśnia sprawę.

— Widzi pani, „Głos Polek” jest organem Związku Polek, który jest przede wszystkim kobiecym towarzystwem ubezpieczeń na życie. Każda członkini Związku, a jest ich 60.000, obowiązana jest prenumerować organ Związku. Stąd ta olbrzymia cyfra prenumeratorów. Rzecz prosta, że „Głos Polek”, jako organ Związku zajmuje się przede wszystkim jego sprawami, różni się zasadniczo od pism literacko-społecznych typu ogólnego. Jednak staramy się o to, aby „Głos Polek” służył propagandzie polskości, aby wśród swoich czytelniczek podtrzymywał ducha polskiego, budził świadomość przynależności narodowej i związku z Macierzą. System redagowania jest zupełnie odmienny, niż innych pism. Oprócz listów naszych korespondentek posługujemy się głównie przedrukami. Np. obecnie, jako powieść drukujemy „Emancypantki” Prusa, rzecz naszym czytelnikom dotychczas nieznaną, dostępną dla ich poziomu umysłowego, a zasługującą ze wszech miar na spopularyzowanie w szerokich warstwach naszych kobiet.

Pani Kryszakowa bierze do ręki „Bluszcz”, z którym, jak mówi, często się spotyka, przegląda go uważnie, wypytuje o układ, o źródła wiadomości, o autorki, o zasięg poczytności, o organizację finansową.

Przywykła do całkowitego materialnego zabezpieczenia pisma,

którego jest redaktorką, wyraża podziw dla różnorodności treści, dla bogactwa ilustracji, zdobywanych w gorączkowym tempie walki o byt. Dzieli się swymi cennymi spostrzeżeniami z zakresu propagandy czytelnictwa i kolportażu, spostrzeżeniami, które jeszcze jaskrawiej uwypatniają różnicę wymagań i zapotrzebowań rynku europejskiego i amerykańskiego.

Przechodzimy do spraw kontaktu Polonji amerykańskiej ze „starym krajem”. Pani Kryszakowa wyraża żal, że na Wszechświatowy Kongres Autorek i Kompozytorek w Chicago Polska nie wysłała oficjalnej delegatki.

— Jaka szkoda, jaka niepowetowana szkoda, — powiada. Pani nie ma pojęcia, jaki wśród nas panuje głód żywego słowa z kraju. Brak oficjalnej delegatki polskiej na kongresie, na którym były przedstawicielki wszystkich krajów nawet ras kolorowych, zadał bolesny cios naszej dumie narodowej i naszym nadziejom... Sam widok polskiej delegatki, przemawiającej o Polsce na forum międzynarodowym byłby faktem, mającym dla propagandy polskiej w Ameryce niezwykle doniosłe znaczenie. Tak byłoby pewne, że to się stanie, że nie robiliśmy żadnych kroków, aby ten fakt spowodować. Ale gdybyśmy wiedzieli, że macie w kraju z tem jakieś trudności, byłobyśmy my, Związek Polek, natychmiast pośpieszyli z pomocą...

Trudno. Stało się. Ale to wielki błąd i wielka strata.

Pani Kryszakowa mówi powoli, z namysłem. Słowa jej nie są rzucane na wiatr: każde ma swoją wagę i wartość. Odpowiada rzeczowo i wymaga rzeczowych objaśnień. Widać, że każdą sprawę lubi zbadać i wyczerpać do głębi. Nie zadowolili się powierzchownymi komunalami. Reprezentuje spokojną, statyczną siłę, na której można się oprzeć, jeśli się zasłuży na jej zaufanie.

Rozbudzenie i zdobycie tego zaufania to jedno z naszych najpilniejszych zadań na najbliższą przyszłość.

Stefanja Podhorska-Okolów.

Czytelniczki nasze

prosimy, by żądały
pism kobiecych we
wszystkich kawiarniach,
cukierniach,
restauracjach, czytelniach i t. d.

Letnie premje dla czytelniczek „BLUSZCZU”

Uważając, że najlepszą PROPAGANDĘ pisma mogą i powinny prowadzić jego CZYTELNICZKI i chcąc je do tej akcji zachęcić, obmyśliśmy dla nich na sezon letni następujące PREMJE:

I

każdej Prenumeratorce dotychczasowej, która zjedna „Bluszczowi” jedną NOWĄ PRENUMERATORKE, opłacającą ZGÓRY PRENUMERATĘ KWARTALNĄ, przyznamy premję w postaci KOMPLETU WYROBÓW PERFUMERYJNYCH FRYDERYKA PULSA wartości 5 złotych po cenie hurtowej, a mianowicie, do wyboru:

KOMPLET A.

Krem „Uroda” do pielęgnowania cery, flakon wody kolońskiej i 6 sztuk mydła kwiatowego.

KOMPLET B.

Flakon wody kwiatowej, Krem oczyszczający i 3 mydła kwiatowe większe.

II

każda PIĄTA z dotychczasowych prenumeraterek „Bluszczu”, które wniosą ZGÓRY PRENUMERATĘ KWARTALNĄ, otrzyma niezależnie od poprzedniego taką samą premję.

Wobec licznych zapytań i zgłoszeń przedłużamy termin udzielania premij do dnia 15 sierpnia b. r.

W dalszym ciągu otrzymują premje panie:

JANINA GÓRNOWA z Borka

JANINA GAWROŃSKA z Warszawy

ANNA GALINATOWA z Wilna

ZOFJA RACOWA z Warszawy

KAMLEROWA z Warszawy

NA ZŁOT MŁODZIEŻY POLSKIEJ Z ZAGRANICY

Główną niemal troską każdego narodu jest młodzież, której wartości tak moralne, jak i fizyczne mają w przyszłości rozstrzygnąć o potędze, istnieniu czy nawet upadku państwa.

Dbałość ta o młode pokolenie, wypływająca z obiektywnych nakazów polityki państwowej i przejawiająca się w silnej rozbudowie szkolnictwa oraz wszelkich instytucji kulturalno-oświatowych, ma jeszcze jedno źródło, najbardziej istotne i potężne, którem jest rodzicielska miłość.

Ona to właśnie rozszerzona i obejmująca nie tylko własnych synów i córki, lecz dzieci całego narodu, dąży uparcie do przekształcenia systemów wychowawczych w sztukę formowania młodych dusz.

Dziś miłość nasza spoteżnić musi i wyjść poza obszar określony granicami Państwa. Młodzież bowiem polska, w której ręce przekazać kiedyś chcemy nasze marzenie o przyszłości i realizację czynów, niedokonanych w naszym życiu, młodzież ta żyje, rozwija się, organizuje również poza granicami Polski i tam, bardziej niż w kraju, pragnie serdeczności.

Na obu półkulach świata, wśród murów potężnych, nowoczesnych bloków, w nurokach lasów dziewiczych Parany, w pampasach Argentyny, czy w dzikich puszczach Kanady, w Australji i Chinach przebywa na obczyźnie około 2 milionów młodych Polek i Polaków.

A jeśli tu, w kraju drżymy w obawie przed demoralizacją i wypaczeniem zasad życiowych naszej młodzieży, tam czeka ją stokroć trudniejsza, bo samodzielna wśród obcych, bardziej walka, bez oparcia o narzucające się im w kraju tradycje.

Wychodźstwo polskie, jako po większej części zarobkowe, tworzyło poza granicami Ojczyzny warstwy średnie: robotników, rzemieślników, rolników i nieraz kupców. A nawet w tych krajach, gdzie osiągnęło pewien stopień zamożności, w parze z bogaceniem się nie mógł iść równie szybko rozwój kulturalny. Dopiero z trudem dźwigała się z szarych mas wychodźczych inteligentcka warstwa, która dawniej, poza jednostkami, niemal nie istniała i którą w dalszym ciągu tworzyć będą dzisiejsi młodzi.

Jaka będzie ta warstwa przodowników życia społeczeństw polskich poza granicami Rzeczypospolitej, o tem zadecyduje w wielkiej mierze nasze stanowisko tu, w kraju i nasz stosunek do zagadnień młodzieży polskiej na obczyźnie. Stąd bowiem, z ziemi ojczystej czerpać będzie upór i siłę do wytrwania w walce z wynarodowieniem starsze pokolenie Polonji Zagranicznej i tu przyjdzie pokolenie młode, aby się upewnić, że Polakiem być warto, że dobro młodzieży polskiej na obczyźnie jest jedną z głównych trosk mocarstwowej Polski i że realna nie tylko łączność, lecz również współpraca z Macierzą są do osiągnięcia. W tym roku gościmy na naszej wspólnej ziemi tysiące rodaków z obczyzny, przybyłych tu na II Zjazd Polaków z Zagranicy, aby po licznych obradach i dyskusjach, w których się zetną opinie delegatów wszystkich nie-



W pływalni polskiego klubu sportowego w Kurytybie.

mał środowisk polskich na terenach, dokonać historycznego czynu, jakim się stanie stworzenie światowego Związku Polaków.

Obok nich Polska powitała również całe zastępy młodzieży naszej z zagranicy. Około 5.000 polskich robotników, rzemieślników, harcerzy, uczniów szkół średnich i akademików przybyło do Ojczyzny, aby, równolegle ze starszym pokoleniem, obradować nad swymi sprawami i dla nich znaleźć rozwiązanie.

Wszystkie tematy rozważań Sejmu Polaków z Zagranicy, obok specyficznych zagadnień młodzieżowych, muszą się odbić silnym echem i podlegać dyskusji na obradach Złotu Młodzieży. Młode bowiem pokolenie zagranicznych Polaków, zorganizowane w licznych wydziałach przy stowarzyszeniach starszych, w drużynach harcerskich, związkach strzeleckich, towarzystwach gimnastycznych „Sokół”, silnie rozwiniętych klubach sportowych etc., żywy udział bierze w życiu organizacyjnym społeczeństw polskich na obczyźnie.

O tem, jaki będzie wynik tych obrad i dociekań, co postanowi pokolenie przyszłych kierowników życia polskiego za granicą i przy czem zechce wytrwać, o tem decydować będzie nastrój, w jakim odbędą



Wiceprezes polskiego Tow. Sportowego „Junak” w Paranie, p. Sobociński.

się owe obrady. Zdecyduje o tem nieuchwytnie, lecz silne poczucie, że tu i tylko tu, na ziemi ojczystej czują się najlepiej, że Polska wymarzona, którą oglądają nie raz po raz pierwszy, to nie jest obojętne, ujęte granicami Państwo, które się zwie-
dza, lecz nasze serce, co, ogarnięte po-
tężnym żywiołem miłości dla wszystkich
Polaków — witają!..

Halina Karnicka.

Z UBIEGŁEGO TYGODNIA

Polska a państwa bałtyckie. — Przyjazne oświadczenia odpowiadają rzeczywistości. — Idea wschodniego regionalnego paktu pomocy. — Uspokojenie we Francji. — Zamach hitlerowców austriackich i śmierć Dollfussa. — Motywy polityczne zamachu. — Silne poruszenie na giełdach. — Nastrój wojny jak przed 20 laty.

Podróż polskiego ministra spraw zagranicznych do dwóch krajów bałtyckich — Estonji i Łotwy była w ubiegłym tygodniu dodatnią pozycją, była jednym z tych wydarzeń politycznych, które rozjaśniają horyzont międzynarodowej polityki. To też oświadczenie narodowego bohatera Estonji, naczelnego wodza, gen. Lajdonera, „że Polska i Estonja, dwa państwa, między którymi nie ma żadnych tarć, nawet drobnych, mogą i powinny najściślej ze sobą współpracować” — potwierdzało istniejący stan rzeczy. Motyw ścisłej współpracy i przyjaźni polsko - estońskiej przewijał się we wszystkich przemówieniach, przyczem bardzo wyraźnie podkreślano tendencję tej współpracy, której podstawą jest szczerza i aktywna polityka pokojowa.

Niemniej serdecznie zmanifestowała Łotwa swoje przyjazne uczucia dla Polski. Oficjalne oświadczenie, podane w prasie, reasumowało tę zgodność polityki obu państw bałtyckich z Polską. Szczególnie wyraźnie określił p. minister Beck sytuację: „Oba państwa, które łączą stosunki przyjaźni, mogą z dumą patrzeć na atmosferę, stworzoną w Europie wschodniej, dzięki szeregowi układów, które Polska i Łotwa zawarły równolegle ze Związkiem Sowieckim. Układy te świadczą o pracy konstruktywnej...”.

Wizyta estońskiego min. spr. zagr. p. Seljama w Moskwie była dalszym etapem w ustaleniu wytycznych polityki państw zaprzyjaźnionych. Wyraźnie już rysuje się idea „wschodniego regionalnego paktu pomocy”, w którym wzięłyby udział: Z. S. R. R., Polska, Niemcy, Czechosłowacja i państwa bałtyckie.

Skoro już zaczęliśmy od rejestrowania dodatnich wydarzeń z ubiegłego tygodnia, zatrzymajmy się jeszcze chwilę — na wschodzie Europy. Należy bowiem zanotować wizytę naszej eskadry w Sowieciech i wizytę lotników sowieckich w Polsce. Jest to nie tylko sprawa kurtuazji, ale i dowód ciągłego rozwoju wzajemnych stosunków sąsiedzkich w kierunku utrwalania przyjaźni obu państw.

Do dodatnich momentów zaliczymy również zażegnanie przesilenia wewnętrznego

Wyniki ciągnięcia II-ej klasy 30-ej Loterii Państwowej

Miło nam stwierdzić, że w nie-
szczęsnym Nowym Sączu, tak do-
tkliwie poszkodowanym wskutek
powodzi, padła wygrana 15.000.—
zł. na Nr. 137035.

Wogóle „feralna” trzynastka ode-
grała w ostatnim ciągnięciu rolę nie-
pośrednią. Tą cyfrą rozpoczyna się
wspomniany wyżej numer: 50.000.—
zł. padła na Nr. 113795, 20.000
zł. na Nr. 113766, 5.000.— zł. na Nr.
130309. Ten zaś los, którego numer
rozpoczyna się i kończy na trzynast-
ce, mianowicie 135615, stał się dla
swych właścicieli źródłem poważnej
fortuny, padła nań bowiem główna
wygrana w wysokości 200.000.— zł.
Połowa tej sumy przypadnie w ud-
ziale jednemu z inżynierów, spe-



cializujących się w konstrukcji sa-
motów, drugą zaś połowę podziela
się dwaj wojskowi kierowcy samo-
chodów, st. sierżant Opolski i sierż.
Królak.

Pozatem w ostatnim ciągnięciu
druga wygrana 50.000.— zł. padła na
Nr. 51914. Podajemy podobizny wła-
ścicieli trzech ćwiartek tego szczęśli-
wego numeru. Są to mianowicie p.p.
Sekretarz gminy Zaryby Kościelne
w powiecie Ostrowsko - Mazowiec-
kim p. G., poniżej komendant poste-
runku P. P. w tejże gminie przo-
downik Piotr Bossy, oraz starszy po-
sterunkowy P. P. w Dawidgródku,
w pow. stolińskim, p. Feliks Falko-
wicz (w mundurze).



we Francji. Jeżeli nawet przyjmimy, że
uspokojenie to jest tymczasowe, przyszło
ono jednak w samą porę, wobec wydarzeń
austriackich.

Wydarzenia te: spisek hitlerowców au-
strjackich i zamach na kanclerza au-
strjackiego Dollfussa, który poniósł śmierć
z rąk spiskowców, wstrząsnęły światem.
Motywy tej politycznej zbrodni sprawiły,
że państwa zachodnie, więc Francja, An-
glja i Italja — zwłaszcza Italja — skon-
kretyzowały swój stosunek do sprawy au-
strjackiej. Kanclerz Dollfuss zginął, ponie-
waż był obroną niezawisłości republiki
austriackiej, ponieważ opierał się zaku-
som Rzeszy dążącej wszelkimi środkami
do „Anschlusu”. Zaczem wytworzyły
się w republice austriackiej wewnętrzne
fermenty, trudności, z którymi musiał się
zmagać kanclerz Dollfuss. Fermenty te spo-
wodowały zmianę ustroju wewnętrznego
na modłę faszystowską, co wywołało
krwawą rozprawę z elementami socjali-
stycznymi w ubiegłym roku. Popieraany
przez Mussoliniego faszizm austriacki z
nim większą energią bronił się przed na-
porem hitleryzmu, godzącego w niezawi-

siłość państwową republiki. Żywioły hitle-
rowskie w Austrii działały więc zamacha-
mi, sabotażem, gwałtowną propagandą.
Z tej akcji właśnie wyszedł ostatni pucz,
którego ofiarą był kanclerz Dollfuss. Pucz
hitlerowski, po nieudanym usiłowaniu obje-
cia władzy w Wiedniu, skupił swoje siły
w Styrii i trzeba było krwawo rozprawić
się z oddziałami spiskowców.

Próba hitlerowskiej rewolucji w Austrii
spowodowała nadto koncentrację wojsk
italskich na granicy. Był to w istocie mo-
ment silnego poruszenia nawet na giełdach
światowych, co wskazuje na to, że zaraz
po wiadomości o zamachu sejsmograf po-
lityki międzynarodowej drgnął bodajże
na zbrojny konflikt. Prasa zestawiała już
chwilę obecną z nastrojem z przed dwu-
dziestu lat, kiedy to po zamordowaniu w
Serajewie austriackiego następcy tronu i
jego małżonki poszły ultimata wojenne po
Europie.

Tak więc ubiegły tydzień, pogodny i sło-
neczny na wschodzie Europy, w Europie
środkowej niósł burzę.

H. N.



Urok kobiecy – to miły uśmiech. Uśmiech – to białe zęby.

DENTOLIN
Karpińskiego nie tylko bieli zęby, ale wzmacnia dziąsła i zapobiega tworzeniu się kamienia.
Dentolin nie zawiera mydła.

Kącik radjowy

ROZMOWY Z ZAGRANICĄ NA FALI ETHERU.

POLACY Z ZAGRANICY DO SWOICH BLISKICH.

W związku ze Zjazdem Polaków z zagranicy, który rozpoczyna się w pierwszych dniach sierpnia „Polskie Radjo” transmitować będzie szereg uroczystości z tego Zjazdu tak w Warszawie, jak i w innych miastach Polski. Poza tym jednak „Polskie Radjo” wprowadza bardzo ciekawą innowację, oddając mikrofon na usługi Polaków z zagranicy. Oto w dniach od 1 do 9 sierpnia o godz. 23.05 do 23.10 przemawiać będą przed mikrofonem rozgłośni warszawskiej Polacy z zagranicy do swoich bliskich, przebywających w ośrodkach emigracji polskiej w różnych krajach europejskich. Codziennie w ciągu 5-ciu minut przemówi cztery osoby, dzieląc się wrażeniami z Ojczyzny ze swoimi najbliższymi, którzy nie będą uczestniczyć w Zjeździe. Poza tym w dniach od 9 do 15 sierpnia takie same audycje nadane zostaną z rozgłośni lwowskiej, katowickiej, krakowskiej i poznańskiej. Ze względu na konieczność jak najszybszego poinformowania o tych audycjach polskich rodzin, przebywających zagranicą, cała prasa polska krajowa i emigracyjna proszona jest gorąco o przedrukowanie tej informacji.

Rzecz jasna, że audycje te nie mają znaczenia dla emigracji polskiej w Ameryce, gdyż nie będą one transmitowane na drugą półkulę.

BEYREUTH — ŚWIATYNIA MUZYKI WAGNEROWSKIEJ W POLSKIM RADJO.

W ciągu ostatniego pół roku daje „Polskie Radjo” swoim słuchaczom sposobność poznania dwóch najważniejszych ośrodków muzyki operowej: Scali Medjolańskiej i Bayreuthu. Są to dwa skrajne przeciwieństwa, reprezentujące dwie zasadniczo odmienne kultury: kulturę Południa i kulturę Północy.

We wspaniałych transmisjach ze Scali Medjolańskiej wystąpiły bardzo wyraźne ideały Południa zarówno w doborze repertuaru, jak i w samym wykonaniu. Słyszeliśmy dzieła przede wszystkim włoskich kompozytorów, dzieła o wybujałej melodyce i zmysłowym pięknie. Zupełnie inny rodzaj muzyki usłyszymy w transmisjach z Bayreuthu. Przedewszystkiem będą to wyłącznie dzieła Wagnera, których orkiestra, głos ludzki, tekst i dekoracja, zupełnie inną spełniają misję, jak w operach włoskich. Dzieła Wagnera nie są to opery, lecz dramaty muzyczne, gdzie nie chodzi o piękno brzmienia, o piękno samej muzyki, lecz o dramatyczność, o wydobywanie myśli przewodniej i idei dramatu.

Takiego właśnie wykonania, takiego ścisłego związku między słowem, a muzyką i dekoracją życzył sobie Wagner. Z tych to przesłanek powstał pomysł stworzenia specjalnego teatru.

W swoich pracach publicystycznych żądał Wagner zupełnego skojarzenia wszystkich najdrobniejszych składników teatru, podawał dokładne plany, dotyczące architektury, dekoracji, reżyserji, środków technicznych, rozmieszczania orkiestry,

gry aktorskiej i t. p. Latami marzył o wybudowaniu specjalnego teatru, któryby obok artystycznej misji posiadał również misję narodowo - społeczną. Chciał, by teatr ten dostępny był dla każdego, a więc bez biletów wstępu (jedynie co w praktyce okazało się niemożliwe i nie zostało przeprowadzone), by stał się świątynią sztuki i religji, by stał się krynica odżywcza dla narodu niemieckiego. Marzenia te przybrały konkretniejsze kształty po napisaniu tetralogji „Pierścienia Nibelungów”, której z powodu jej rozmiarów nigdzie nie można było wystawić. Długoletnim marzeniem Wagnera stało się zadość. Po wielu latach ciężkiej walki, w chwili, gdy zdawało się, że już wszystko przepadło, zajmuje się losem Wagnera król bawarski Ludwik II. Przy jego poparciu oraz przy pomocy zwolenników Wagnera zaczyna się zbierać fundusze na wybudowanie teatru. Wybór padł na Bayreuth, małe miasteczko w Bawarii, niegdyś rezydencję margrabską. Po wielu trudach teatr jest gotów i w roku 1876 odbywa się pierwsze przedstawienie tetralogji „Pierścienia Nibelungów”.

Od czasu premjery tetralogji staje się Bayreuth miarodajnym ośrodkiem muzyki wagnerowskiej, celem pielgrzymek wszystkich jego wyznawców. Tutaj zjeżdżają się najlepsze siły śpiewacze, najlepsi dyrygenści i muzycy, aby po niezliczonej ilości trudów, po niesłychanym starannem przygotowaniu zaprezentować światu w miesiącach letnich jak najczystsza sztukę wagnerowską.

Tegoroczny festival z udziałem najlepszych sił muzycznych będzie, jak zwykle, prawdziwą uroczą duchową. Dzięki staraniom „Polskiego Radja” będą radjo-słuchacze mogli usłyszeć mimo wielkiej odległości w dniu 7 sierpnia III-cią część „Pierścienia Nibelungów” o godz. 16.00, oraz w dniu 9 sierpnia ostatnie trzy obrazy IV-tej części tetralogji „Zmierzchu bogów” o godz. 21.12. Obydwie te audycje poprzedzi słowo wstępne dr. Fabry. Całość omówi w dniu 5 sierpnia o godz. 20.35 dr. Zdzisław Jachimecki.



Teatr wagnerowski w Bayreuth.

Ogrodnictwo i hodowla

ENDYWJA

Jest to bardzo zdrowa salata, zasługująca na szerokie spożycie, to też z każdym rokiem przybywa jej zwolenników. Smak wybielonej endywji jest znakomity, a lekka gorczyzka pobudza apetyt.

Do zalet endywji należy wielka łatwość hodowli, oraz fakt, że endywja rośnie bardzo szybko i tworzy śliczne krzaczki, stanowiące ozdobę każdego ogrodu.

Spożywać ją można zarówno gotowaną w słonej wodzie, wtedy doprawia się ją octem i oliwą, lub też przyrządzoną, jak zwykła liściasta salata. Odmiany Endywji Meaux i Mchowa, jako drobnolistne i fryzowane, nadają się do przybierania półmisków, wędlin i t. p. Winna ona zająć miejsce zwykłych салат, skoro tylko te znikną z rynku.

Na użytek zimowy endywja musi być bielona na otwartym powietrzu, zanim ją się złoży w jesieni do piwnicy. Zachowana w miejscu przewiewnym, lecz ciemnym trzyma się miesiącami i daje znakomitą salate.

Rodzina endywji dzieli się na dwie wielkie grupy: odmiany letnie i odmiany zimowe. Uprawa letnia wobec tysiąca odmian wyborowych салат gruntowych nie bardzo ma cel. Ale są amatorzy, którzy właśnie lubią gorczyzkę endywji.

Z odmian letnich polecić można:

Trianon samorozwijająca się o dużych twardych główkach.

Paryska żółta szerokolistna i Pstrągowa.

Wysiewa ją się co dwa tygodnie od maja do lipca, a następnie rozsadza w 30 cm. odstępach. Na dwa tygodnie przed użyciem trzeba główkę związać, aby listki wybielały, bo wtedy tracą nadmierną gorczyz i stają się kruchsze.

Główne znaczenie ma jednak endywja, jako roślina, która nam daje danie jarzynowe w okresie zimowym.

Do tego celu wysiewa się ją w drugiej połowie lipca lub początkach sierpnia, siana wcześniej strzela w nasienie. Potrzebuje ona gleby przewiewnej, głęboko uprawnej, umiarkowanej wilgotnej i zasobnej w składniki pokarmowe. Potrzebuje dużo świeżego i suchego powietrza, a gdy go niema, łatwo zaczyna gnić. Wysiewa się ją na rozsadniaku lub w opróżnionych skrzyniach inspektowych. Sieje się rzutowo, ale możliwie rzadko.

Gdy roślinki natyle podrosną, że mają 2—3 liście, pikuje się je co

5 cm. w kwadrat. Dla przygotowania rozsady, potrzebnej do obsadzenia 1 ara, potrzeba około 4 gramów nasienia. Po pięciu tygodniach od przepikowania wysadza się młode roślinki na miejsce stałe, sadząc w odległościach 35 cm.

Za nadejściem mrozów nakryć skrzynią inspektową. Zbiór z niej trwa do końca grudnia. Chcąc mieć ją przez styczeń i luty, trzeba w październiku wykopać roślinki z całą bryłką korzeniową i zadołować niezwiązane w suchej, przewiewnej piwnicy, w wilgotnej ziemi lub piasku.

Przed użyciem, względnie sprzedażą, endywja musi być bielona, aby straciła nadmierną gorczyz. Bielenie trwa około trzech tygodni. Przy uprawie inspektowej wystarczy rośliny pozbawić światła przez szczelne nakrycie okien matami, przy uprawie np. szklarniowej trzeba każdą roślinę związać lekko raffą lub łykiem.

Okres bielenia jest bodaj najniebezpieczniejszy w uprawie, gdyż przy nadmiarze wilgoci rośliny bardzo łatwo gniją. Dlatego też powinno się wiązać do bielenia tylko rośliny bezwzględnie suche i uskutecznić to w słoneczny i suchy dzień.

Endywja wybielona musi być od razu sprzątnięta, gdyż w tym stanie trzyma się bardzo źle i krótko, podlegając bardzo łatwo procesom gnilnym. Zebraną endywię czyści się z nadpsutych i nadgniłych liści, pakuje luzno do koszyczków. Nigdy nie należy endywji moczyć, ani myć. Dobrze się również endywię bieli przez osypanie jej całej suchym piaskiem.

Na nasienie przeznaczają się zdrowe i silne egzemplarze, przechowywane się je dołowane w dobrej piwnicy lub ciemnej szklarni, wczesną wiosną wysadza się je na grzedy niezbyt znawożone o wystawie cokolwiek osłoniętej.

Nasiona zachowują siłę kiełkowania do lat pięciu. Wsiewać jednak najlepiej ziarenka dwu lub trzyletnie.

Z pośród licznych odmian zimowych Endywji najodporniejsze na zgniliznę, owego największego wroga, są następujące:

Cesarska o wielkich żółto-zielonych liściach.

Eskarola szerokolistna zielona. *Meaux* najpiękniejsza strzępiasta zielona. *Mchowa* jasno-zielona, drobno strzępiasta, niesłychanie dekoracyjna.

Marja Mauve.

KAMELJE

Kamelje to jedne z najbardziej dekoracyjnych roślin. Rosną szybko, doskonale znoszą cięcie, dzięki czemu można je formować dowolnie. Jest to roślina drzewna, która w warunkach pokojowych nierzadko dorasta i 3—4 centymetrów, a przy hodowli szklarniowej nawet 10 cm.

Kwiaty o pięknym rysunku i subtelnej woni bywają pełne pojedyncze; białe, różowe lub czerwone w najrozmaitszych odcieniach. Bywają również i pstre, są one prawie zupełnie pozbawione ogonków i ukazują się na wiosnę.

Wszystkie te cechy sprawiają, że kamelja ma wielu fanatycznych zwolenników, bo gdy rośnie zdrowo, naprawdę nie ma sobie równej między pokrewnymi roślinami.

Niestety kamelje są kapryśne i często się zdarza, że mimo starań rosną źle, mają wygląd chorowity i co najważniejsze „zrzucają paki”. Owo zrzucanie paków jest często wadą, na którą uskarżają się hodowcy. Kamelje rosną dobrze, tylko w warunkach dostosowanych do ich potrzeb. Jeśli im nie możemy ich dostarczyć, to lepiej nie brać się wogóle do pielęgnacji tych roślin, bo rezultaty nie będą dobre. Kamelja potrzebuje dużo miejsca i powietrza, wymaga wiele światła, ale nie lubi zbyt silnych promieni słonecznych w lecie.

W okresie zimowego spoczynku musi mieć temperaturę o wiele niższą, niż ma przeciętne mieszkanie. Temperatura, w której kamelje zimują, nie powinna być wyższa od 5° do 10° C.

Kamelje nie znoszą przenoszenia z miejsca na miejsce. Ani żadnych nagłych zmian temperatury.

Latem powinno się je wynosić do ogródka lub wystawiać na balkon. Na powietrzu powinny otrzymać stanowisko bezwzględnie oświetlone od bezpośrednich promieni słońca. Na dworze mogą stać od połowy maja do połowy września.

W okresie wegetacyjnym i podczas kwitnienia, mniej więcej do połowy sierpnia, podlewanie musi być obfite, po tym czasie zmniejszamy go stopniowo, gdyż w okresie zimowego spoczynku kamelje potrzebują niewiele wilgoci.

Pamiętać jednak należy, iż nigdy nie powinno się dopuszczać do kompletnego wyschnięcia ziemi, gdyż wówczas opadają im paki kwiatowe, a często także i żółkną liście.

Opadanie pąków kamelji, na co tak często skargi się słyszy, może mieć oprócz zbytniego wyschnięcia ziemi także i inny powód, a mianowicie wspomniane już wyżej przenoszenie ich z miejsca na miejsce, zwłaszcza w połączeniu z raptowną zmianą temperatury lub światła, nawet przekręcanie roślin może tu zaszkodzić.

Często się zdarza, że zamierają młode świeżo rozwinięte listeczki przy równoczesnym ich czernieniu.

Przypisać to należy zatruciu, które jest zwykle następstwem zamarcia drobniejszych korzeni przy równoczesnym utrzymaniu się przy życiu korzeni grubszych. Można się o tem przekonać, wybijając kamelję ostrożnie z doniczki i obserwując korzenie, leżące nazewnątrz bryły korzeniowej, gdzie się znajdują korzonki najmłodsze. Jeśli przecięty skośnie taki korzonek wykaże barwę brązową, to znak, że jest zamarty i znajduje się w stanie bu-
twienia.

Należałoby w takim razie korzenie uwolnić z ziemi, zamarte wyciąć aż do części zdrowych, rany zasypać sproszkowanym węglem drzewnym, a następnie roślinę zasadzić do ziemi wrzosowej z domieszką liściowej, dodając do niej również sproszkowanego węgla drzewnego, jako środka przeciwnilnego.

Następnie trzeba trzymać kamelję przez 4—6 tygodni w miejscu wilgotnym, ciepłym i słabo usłonecznionym, najlepiej pod kloszem. Kuracja taka trwa długo.

Powodem tej choroby może być silne przeziębienie. Podobne objawy występują także, o ile się przeholuje w nawożeniu, szczególnie nawozami sztucznymi lub podleje się roślinę silnie uryną.

Kamelje również często bywają napastowane przez tarczówki. Uratować je w tym wypadku może opryskiwanie. Zabieg ten wykonywać trzeba bardzo dokładnie, powtarzając go 6—8 razy w odstępach dziesięciodniowych, tak, aby ciecz dotarła do każdego miejsca w roślinie.

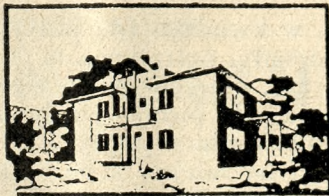
Da się to skutecznie dobrym opryskiwaczem (np. butelkowym), który rozpyla ciecz na mgłę. Przy opryskiwaniu położyć doniczkę poziomo i obracać.

Po pierwszym opryskiwaniu usunąć górną warstwę ziemi, ponieważ mogą się tam znajdować jajka i larwy tarczówki. Zdjętą ziemię należy zastąpić świeżą.

Kilkakrotne opryskiwanie jest konieczne, by wytepić wylęgające się kolejno z jaj młode generacje larw przechodzących z miejsca na miejsce. Skoro przylgną do liści i okryją się tarczka, już ich ciecz nie zabije. Takie trzeba poprostu zeskrobywać tępym drewnkiem i palic.

Własny dom z ogrodem

na długoletnie RATY



otrzymasz w podstolecznej kelsoni

„BRZozowa“

położonej na linii kolejowej łącznicowej, pomiędzy Zieloną a Rembertowem. Idealne warunki klimatyczne w rezerwacie lasów iglastych. Solidne i terminowe wykończenie. Dojazd do centrum miasta 20 minut. Pożyczka B. G. Krajowego zapewniona.

Zamiast płacić wiecznie Komorne przy nie wielkiej stosunkowo jednorazowej wpłacie — miesięcznym komornem spłacisz w ciągu kilku lat swój własny dom. Parcele bez domów od 50 gr. za 10k.²

Bezpłatnych informacji udziela i zapisy przyjmuje:

Two „BRZozowa“ ul. Matejki 7, telefon 9-18-88.

Roztwór sporządza się, dając na 1 litr wody 1 dkg. szarego mydła i łyżeczkę ekstraktu tytoniowego, albo wywar z 10 gr. machorki. W 24 godziny po każdym zabiegu opryskiwać roślinę czystą letnią wodą.

Roślinę należy trzymać w pozycji poziomej, ponieważ wtedy płyn łatwiej dociera do spodu blaszek korzeniowych, gdzie wzdłuż nerwa głównego tarczówki zwykle się umiejscowiają. Pozatem wprowadzie płyn ten teoretycznie nie szkodzi korzeniom, ale zawsze lepiej, aby się do nich w nadmiarze nie dostawał.

Coroczne przesadzanie kamelji nie jest potrzebne; wystarcza to czynić raz na kilka lat, gdy roślina bardzo silnie się zakorzeni. Przesadzamy najlepiej w lipcu lub sierpniu w ziemię wrzosową z domieszką ostrego piasku, dając niewiele większe doniczki i silny dren. Po przesadzeniu trzyma się kamelję jakiś czas w zamkniętym pokoju. skrapia się ją, a następnie z wolna przyzwyczaja do przewiewu. Delikatne skrapianie należy stosować po przesadzeniu a także w lecie przed rozkwitem; pomaga to do prawidłowego rozwinięcia się pączków kwiatowych. Kropienie rozkwitłych roślin może uszkodzić kwiaty.

Rozmnażanie kamelji w warunkach pokojowych jest dość trudne, a z nasion wręcz niemożliwe. Można jedynie próbować sadzonkowania, które skuteczniamy w ciągu lipca i sierpnia. Sadzonki muszą być posadzone do ziemi bardzo lekko i trzymane pod szkłem. Ukorzenienie się trwa kilka miesięcy. Młode, świeżo zakorzenione sadzonki przesadzać należy z jak naj-

większą ostrożnością, bo mają one korzonki nadzwyczaj kruche. Gdy nieco podrosną i doniczkę sadzonkową wypełnią, przesadzamy je do większych doniczek, gdzie kilka lat mogą pozostać.

Egzemplarze młodsze przesadza się co dwa, trzy lata, a starsze co 4—5, przesadzone częściej słabo kwitną.

Rozmaite mieszaniny ziemne, używane dla amelji, składają się zazwyczaj z 1/4 ziemi wrzosowej, 1/4 liściastej lub torfowej, 1/4 ziemi darniowej czarnej z mokrych łąk i 1/4 piasku. Za dobrą ziemię uważać też można: 1/3 ziemi inspektowej, 1/3 liściowej, 1/3 piasku. W każdym wypadku na sam spód musi iść warstwa skorup i warstewka węgla drzewnego, rozdrobnionego na kawałeczki wielkości grochu.

Odmian kamelji jest bardzo dużo. Katalogi wielkich firm ogrodnich wymieniają ich nieraz i kil-

Marja Dąbrowa.

ODPOWIEDZI DZIAŁU OGRODNICZO-HODOWLANEGO.

P. Z. Grudniówna.

Jak często podlewać araukarję? Częstości podlewania araukarji nie można określić dokładnie, gdyż jest to zależne wyłącznie od zapotrzebowania rośliny. Podlewać należy tak, by ziemia była zawsze wilgotna. W lecie znacznie więcej, w jesieni znacznie mniej, a zimą mało. W czasie silnej vegetacji przy powietrzu gorącym a suchym, gdy w dodatku roślina stoi na wolnym powietrzu, gdzie parowanie jest intensywne, może zajść potrzeba dwukrotnego podlewania w ciągu dnia. Zimą w czasie spoczynku wystarczy nieraz podlać raz na tydzień.

HIGIENISTKI PRZYRODOLECZNICZE.

„Pierwsze w Polsce dwuletnie Kursy Przyrodolecznictwa dla pomocniczego personelu lekarskiego“ założone są z inicjatywy p. dyr. Iny Kisielewskiej. O potrzebie szkolenia takiego personelu wypowiedziały się nieraz zjazdy Lekarskie. Wykłady prowadzi 20 lekarzy, wybitnych specjalistów, z kierownikiem naukowym na czele.

Higienistki otrzymują wiedzę z podstawowych wiadomości medycznych i specjalizują się w działach przyrodolecznictwa: wodo-światło-elektro-lecznictwie, mechanoterapii, Rentgenie, oraz dietyce. Ćwiczenia odbywają w doskonałe urządzonej szpitalach: Centr. Wysz. Sanitar. (ujazdowskim) i im. Marsz. J. Piłsudskiego (mokotowskim), oraz przodujących uzdrowiskach.

24 czerwca po złożeniu dyplomowych egzaminów wobec Państwowych Delegatów, pierwsze absolwentki kursów otrzymały dyplomy higienistek przyrodolecznich.

Uruchomienie kursów jest jeszcze jednym triumfem polskiej myśli twórczej, nawet na forum międzynarodowym, ponieważ tego typu zakładu naukowego brak nawet zagranicą. Jest to nowe pole pracy zawodowej o wielkiej przyszłości.

O kursach, które posiadają wzorowy lokal, pomoce naukowe, internat i t. d. informuje Sekretariat Kursów Przyrodolecznich dyr. I. Kisielewskiej i dr. med. M. Biernackiej w Warszawie, Szopena 16.

Dom i gospodarstwo

ODBLASK SŁOŃCA

Jakże często chciałoby się zaryzykować nawet głowę, byle przebić mur, który ogranicza naszą swobodę. Ale niestety mur jest twardszy od głowy i trwa z roku na rok. Teraz przeżywamy, wszystkie nieomal wrocie nastroje względem tego muru, poza który woła nas rzeczywistość. Na powrotnym szlaku więcej jest westchnień, niż radości powrotu, więcej żalu za minioną słoneczną swobodą, niż gorączkowej tęsknoty do przekroczenia progu opustoszałego domu.

Na szczęście nastroje tego rodzaju są zwykle krótkotrwale. I tak jak stosunkowo szybko, w okresie wyjazdów wyczasowych, zrywamy nici, wiążące nas z szablonem codziennego życia domowego, tak samo niepostrzeżenie i bez wyraźnego bólu przenosimy się z nastrojów wyczasowych w nastroje domowe.

Chodzi tylko o to, żeby nieodwołalnej i najnaturalniejszej w świecie konieczności nie nadawać cech tragizmu i nie piętnować jej rozgoryczonym zniechęceniem.

Wracając do gniazd, jesteśmy im przecież winne jakąś indemnizację za długie tygodnie, czy miesiące zaniedbania. Myśmy pławiły się w słońcu, one tonęły w mroku przysłoniętych okien, osnutych muślinem obrazów i luster, osłaniających meble pokrowców.

„Gniazdo” bezduszne, puste i ciche trwa w letargu i czeka na świeżą krew, która zacznie lada dzień krążyć w jego uśpionym organizmie, budząc go do nowego życia, a ma prawo liczyć na to, że ta „krew” nabrała tężyzny w okresie słonecznego wypoczynku i że będzie pulsowała rytmem zdrowym, energicznym i nade wszystko wesołym.

Wzmocniona energia „powywczasowa” powinna być doskonałym punktem wyjścia dla pewnego reformatorstwa.

Wszystkie te usterki i niedociągnięcia naszego aparatu gospodarsko-domowego, *zmalczenie*, czy *zmalczanie*, których przerażało jednostki zmęczone długimi miesiącami pracy, rozpatrywane pod kątem nowych sił żywotnych, zatracają ciężar gatunkowy. Celowa reforma, zamiast przerażać nas, cieszy spodziewanymi wynikami, byle zabrać się do niej, zanim energia opadnie, zanim staniami się znów wyznawczyniami *linji najmniejszego oporu*.

W zorganizowaniu na nowo biegu życia domowego tkwi ziarno pociągające, ciekawej nowości.



Każdy budowniczy zapala się do swego dzieła i pragnie stworzyć coś zbliżonego do ideału, tak samo i my, budując na gruzach opustoszałego domu, powinniśmy dążyć do wprowadzenia w życie szeregu udoskonaleń, które zwalczą bolączki ubiegłych sezonów.

„Nowość” to życiodajna siła, która podnieca wyobraźnię, przyspiesza obieg krwi, wzbudza zainteresowanie, a tem samem podnieca do czynu.

Właśnie teraz w chwili powrotu, puszczenia w ruch mechanizmu domowego, można na wielu odcinkach holdować celowemu reformatorstwu. Nie zaczynając od punktu, jaki postawiliśmy, wyjeżdżając, ale stworzyć cały szereg nowych wygodnych i miłych paragrafów, wnoszących w nasze życie domowe i w nasze życie osobiste uśmiech szczerego zadowolenia i pogody.

Pierwszym takim punktem będzie zdolność stworzenia regime'u, co miałby na widoku wygodę i dobre samopoczucie wszystkich domowników. Ani jednej ofiary, której: sen, godziny posiłku, godziny wypoczynku nie mogą być zagrożone wieczną służbą dla otoczenia. Każdy odcinek życia domowego powinien być administrowany w sposób wolny od przeświadczenia, że jest dopustem bożym, i że takim już pozostanie po wieczne czasy.

Do spraw najcodzienniejszej natury, szarych i pozornie nudnych można też podejść z uśmiechem, można je *oblaskiwać* i nadać im cechy swoistej twórczości, a wyzbęda się grymasu nudy.

Plan, zbudowany na realnych fundamentach, których nie skruszy lada wstrząs; życzliwe podejście do wszystkiego, co składa się na „nasze” życie, nawet do znieciercierowanego budżetu, tej nagminnej bolączki kryzysowej ery; wystrzeganie się przeświadczenia, że w innych warunkach mogłybyśmy być szczęśliwe i umiałybyśmy uszczęśliwiać swoje otoczenie, to są siły twórcze, które można łatwiej wykorzystać, dopóki nie zgaśnie w nas odbłask słońca, niż w czasie mrocznych zimowych miesięcy.

Każda, najbardziej nawet daleka optymizmowi natura zna błogosła-

wiony dorobek wypoczynku, zmiany warunków, obcowania z naturą, które tak idealnie działają na duchową przemianę materji. Dlatego też każdy dom ma prawo oczekiwać zewnętrznych oznak tego zdrowia duchowego, które powinno być ekwiwalentem letniego dolce far niente i rodzajem zadośćuczynienia za wykorzystane prawo radosnego wypoczynku.

Wanda Dobrzańska.

Przepisy gospodarskie

Zapasy jesienne.

Młoda kukurydza w margnacie. Wybrać młodziutkie kaczany kukurydzy, takie, w których poszczególne ziarenka zaledwie się zawiązują, oczyścić z liści i włosów, obgotować w całości z cukrem i solą. Gdy trochę zmiękną, wyjąć na durszlak, osączyć z wody i wyłożyć na miskę.

Zagotować mocnego octu do marynat, cukrując go dla złagodzenia ostrości i dodając kilka ziarn pieprzu, ziela angielskiego, parę listków bobkowych i jedną cebulę cukrową (licząc na dwa litry octu) przekrajaną na cztery części. Wrzącym octem zalać kukurydżę na misce, a gdy wystygnie, przykryć i pozostawić tak na przeciąg doby.

Po upływie tego czasu wyjąć kukurydżę z octu, ułożyć w kamiennym garnku polewanym. Ocet powtórnie zagotować, wyjąć z niego cebulę, pozostawiając korzenie i zalać wrzącym kukurydżę. Po dokładnem wystudzeniu owiazać garnek pergaminem i przechowywać w suchej, chłodnej spiżarni.

Selery marynowane. Młode, dorodne selery oczyścić, pokrajać w talarki i obgotować w lekko osolonej wodzie. Dalej postępować tak, jak z kukurydzą z tą różnicą, że, układając selery w słoikach, przesypywać je siekaną natką od pietruszki i siekanym koperkiem.

Szałotki marynowane. Drobne cebulki zwane „szalotkami”, obrać z wierzchniej skórki, sparzyć wrzątkiem, wybierać z niego łyżką durszlakową i rzucić w zimną wodę. Ta zimna kąpiel wpływa na zachowanie pięknego, białego koloru. Osączyć cebulki z wody, wyjąć je na miskę i zalać mocnym octem, przegotowanym z cukrem. Po upływie 24 godzin zlać ocet, zagotować i zalać nim cebulki, ułożone w kamiennym garnku. Wystudzone owiazać pergaminem.

Rydzę marynowane w galarecie. Drobne, zdrowe i jedrne rydze (świeżo zbierane) obetrzeć gałgankiem, przycinając ogonki na równi z rydзем. Wymyć w kilku wodach, osączyć na sicie.

Układać rydze warstwami w płaskim dużym rondlu. Każdą warstwę posolić, przykryć cienkimi plastrami cukrowej cebuli, rzucić kilka ziarenek pieprzu, ziela

i dwa listki bobkowe. Na wierzchu powinna wypaść cebula. Dusić rydze pod przykryciem, dopóki cebula zupełnie nie zmeknie. W czasie duszenia nie mieszać, tylko potrząsać rondlem, żeby rydze nie przywarły. Dusić cały czas na wolnym ogniu i na zakrytej fajerce.

Gdy już cebula miękka, wlać kilka łyżek bardzo mocnego octu, gotować z nim jeszcze 5 — 10 minut, zależnie od ilości rydzów. Odstawić z rondlem, albo przelać na miskę kamienną, a gdy zupełnie wystygna, wyjmować łyżeczką, układać w słoikach dodając szalotki marynowane. Sos, który pozostanie, precedzić, wlać go na rydze, dopełnić słoiki bardzo mocnym octem do marynat, przygotowanym ze sporą ilością cukru i wystudzonym. Owiązać słoiki pergaminem, przechowywać jak wszystkie konserwy w chłodnej, suchej spiżarni.

Grzyby marynowane. Młode, jędrne grzybki prawdziwe obetrzeć gałgankiem z piasku, przyciąć im ogonki narówni z kapelusikiem, wymyć w kilku wodach, osączyć. Zagotować lekko osolony ocet, wrzucić we wrzący grzyby, gotować je około 5 minut, wylać na miskę kamienną, albo fajansową i pozostawić tak 24 godzi-

ny. Po upływie tego czasu obmyć grzyby w occie, w którym się gotowały, układać w szklanych słoikach główkami do góry. Przepłukać mocnego octu do marynat soląc go lekko, dodając trochę cukru i korzeni. Wystudzić. Zimnym zalać grzyby.

Rydze solone, czyli kiszzone. Świeżo zebrane, jędrne, zdrowe rydze, (mogą być nawet zupełnie duże, byle nie robaczywe) obetrzeć starannie czystą ściereczką (nie płókać w wodzie). Układać w drewnianej fasce, albo w kamiennych garnkach tak jak rosły i przesypywać łożą każdą warstwę rydzów. Napelnione naczynie przykryć denkiem drewnianem, przycisnąć denko kamieniem, a w miarę osiadania rydzów w garnku dopełniać go świeżymi warstwami.

Chcąc podnieść smak rydzów, można przekładać warstwy plasterkami cebuli, rzucając gdzieniegdzie parę ziarenek pieprzu. Trzeba się jednak liczyć z tem, że rydze z dodatkiem cebuli tracą kolor, a przytem muszą być dosyć prędko zużyte, bo łatwo się psują.

Młoda fasolka marynowana. Małe strączki młodziutkiej fasolki poprzycinać z obydwóch stron, wymyć czysto, ułożyć na misce kamiennej, zalać dobrze słoną, prze-

gotowaną i wystudzoną wodą. Trzymać tak długo, dopóki fasolka nie nabierze wyraźnie żółtego koloru. Wtedy wyjąć z wody, osączyć, ułożyć w garnku kamiennym, zalać wrzącym octem marynatowym. Przez cztery dni codziennie zlewać ocet, zagotowywać go i wrzącym zalewać fasolkę, a piątego dnia dodać, gotując ocet, cukru do smaku i trochę korzeni, zalać znów wrzącym marynatą, a po wystudzeniu owiązać pergaminem i przechowywać, jak wyżej. Można też dodać do fasolki trochę szalotek marynowanych.

Grzyby suszone na zimową jarzynę. Piękne, młode, białe grzyby prawdziwe obetrzeć starannie z piasku, przyciąć korzenie, a same główki krajać na plasterki i rozsypywać na czystym płótnie cienką warstwą, tak aby jeden plasterzek nie przylegał do drugiego. Suszyć w przewiewie na otwartem powietrzu, ale nie na słońcu. Gdy doskonale przeschną, zsypać w szklany słoik, owiązać go pergaminem i przechowywać w chłodnym, suchym miejscu. Na kilka godzin przed duszeniem namoczyć grzyby w letnim słodkim mleku, a gdy spęcznieją, osączyć je i dusić w maśle z cebulą, podlewając śmietaną zupełnie, jak świeże. Będą wyśmienite *Melba.*



Serdecznie zapraszamy WSZYSTKIE UCZESTNICZKI II ZJAZDU POLAKÓW Z ZAGRANICY

DO BEZPŁATNEJ CZYTANI PISM I WYDAWNICTW KOBIECYCH

TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO

„B L U S Z C Z”

przy ul. ŚWIĘTOKRZYSKIEJ 17

CZYTELNIĄ ŁĄCZNIE Z WYSTAWĄ PRAC KOBIECYCH OTWARTA CODZIENNIE OPRÓCZ NIEDZIELI ŚWIĄT OD 9-tej DO 18-tej. KATALOGI, ROCZNIKI, OBJAŚNIENIA Z DZIEDZINY WSZELKICH ZAINTERESOWAŃ KOBIECYCH NA MIEJSCU. ŻADNA Z UCZESTNICZEK ZJAZDU NIEPOWINNA OMINAĆ OKAZJI ZAPOZNANIA SIĘ Z JEDYNYMI WYDAWNICTWAMI, OBEJMUJACEMI WSZYSTKIE ZAINTERESOWANIA KOBIECE W DZIEDZINIE ŻYCIA SPOŁECZNEGO, RODZINNEGO, WYCHOWANIA DZIECI, HIGJENY, PIELĘGNOWANIA URODY, MODY, ROBÓT RĘCZNYCH, ARTYSTYCZNEGO HAFTU I GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

B. 77. Jesienny kostj. bez kołnierza, zapinany na trzy guziki z rękawami reglanowymi i paskiem z boku, zapięty z tyłu.
 B. 78. Jasny płaszcz jesienny z dużymi rękawami, wielokrotnie stebnowanymi na brzegach, stebnowanym paskiem i rękawami.
 B. 79. Komplet jesienny: spódnica i palto trois quarts z materiału sportowego; kamizelka ciemna jednolita z jasnymi kraśkami.

B. 80. Kostjum jesienny, ciemno - niebieski ze stebnówkami.



B. 77.

B. 78

B. 79.

B. 80.

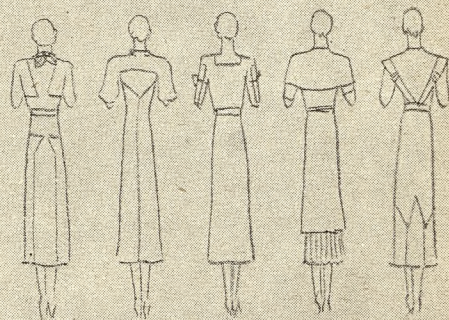
B. 89. Suknia jesienna z materiału wełnianego w delikatne paski, z drapowanym kołnierzem przytrzymanym klipsami i z ciemnym paskiem.

B. 90. Model czarno - biały kombinowany.

B. 91. Suknia jesienna z materiału w rzucik z fałdami przy wycięciu i z żabotem; spódnica układana w głębokie kontrafałdy.

B. 92. Suknia z kazakiem z materiału wełnianego w kolorze brązowym z pelerynką z białymi plisami.

B. 93. Suknia z ciemnej wełny, z kokardą przy szyji, spódnica w fałdy.



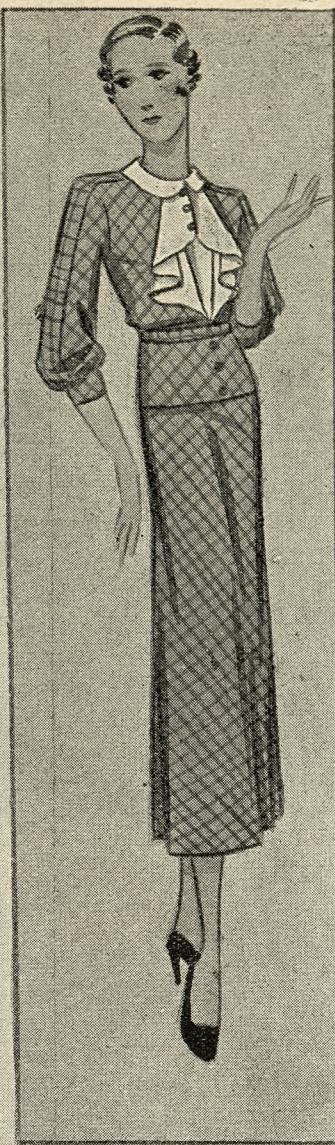
B. 89.

B. 90.

B. 91.

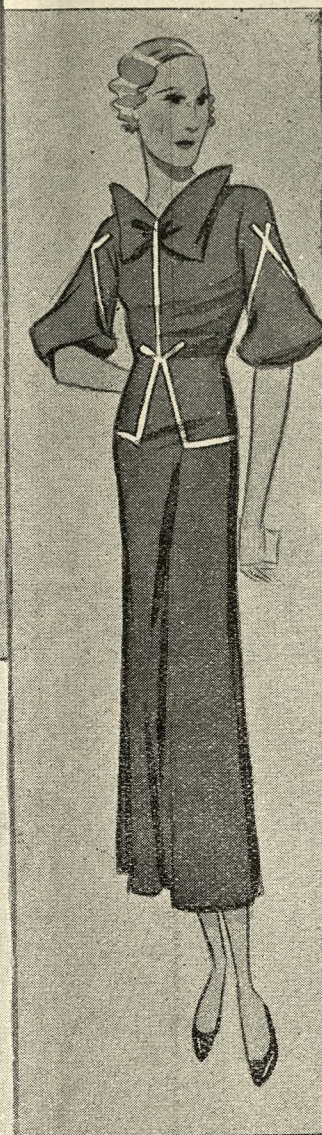
B. 92.

B. 93.



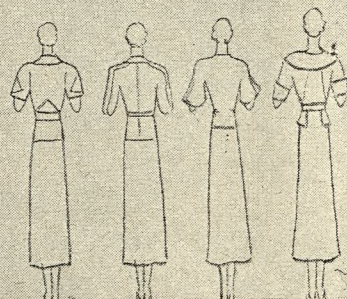
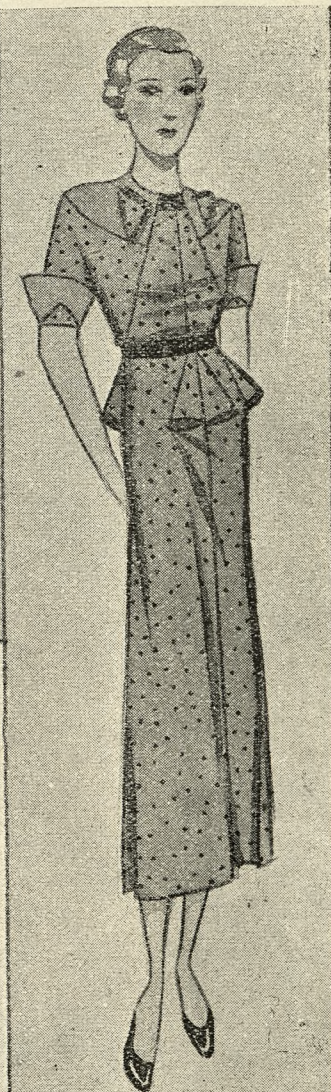
B. 85. Jesienna suknia z jasnego mat. wełn. z stebnówkami i okrągłym kołnierzem. Góra w formie dzempra z krótkimi rękawami.

B. 86. Suknia - dzemper z wełnianego materj. w kraty, przybrana białym żabotem.



B. 87. Suknia niebieska, ozdobiona białymi naszykami, które naśladują formę żakietu. Wielka kokarda przy wycięciu.

B. 88. Suknia wełniana z materjału w kropki z kołnierzem i mankietami z gładkiego jedwabiu.



B. 85.

B. 86.

B. 87.

B. 88.

- P. 81. Jesienny kostjum z mat. sportowego w kraty z kołnierzem szalowym z futra, przerolekanym przez klapę z materiału.
 B. 82. Jesienny kostjum niebieski: długi żakiet z szerokimi rawnersami i naszytymi kieszeniami.
 B. 83. Kost. jesienny z materiału sportowego z szerokim okrągłym kołnierzem, zapięty z boku.
 B. 84. Komplet jesienny: jasne palto z welny wielbłdziej z ciemnymi rawnersami, naszytymi kieszeniami; gładka ciemna spódnica.



B. 81.

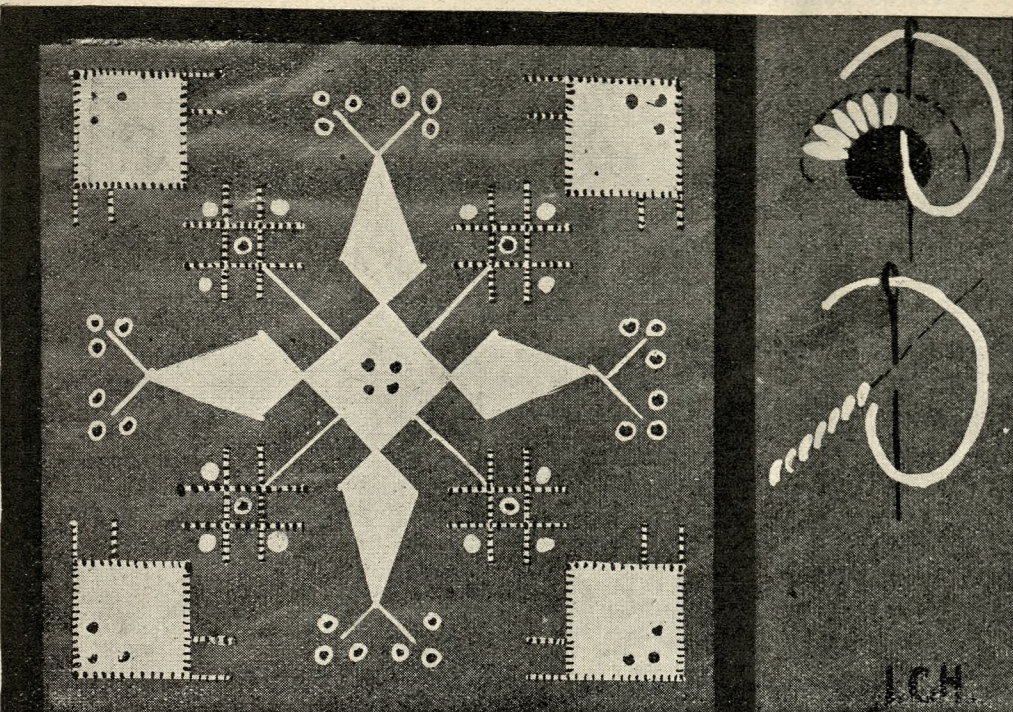
B. 82.

B. 83.

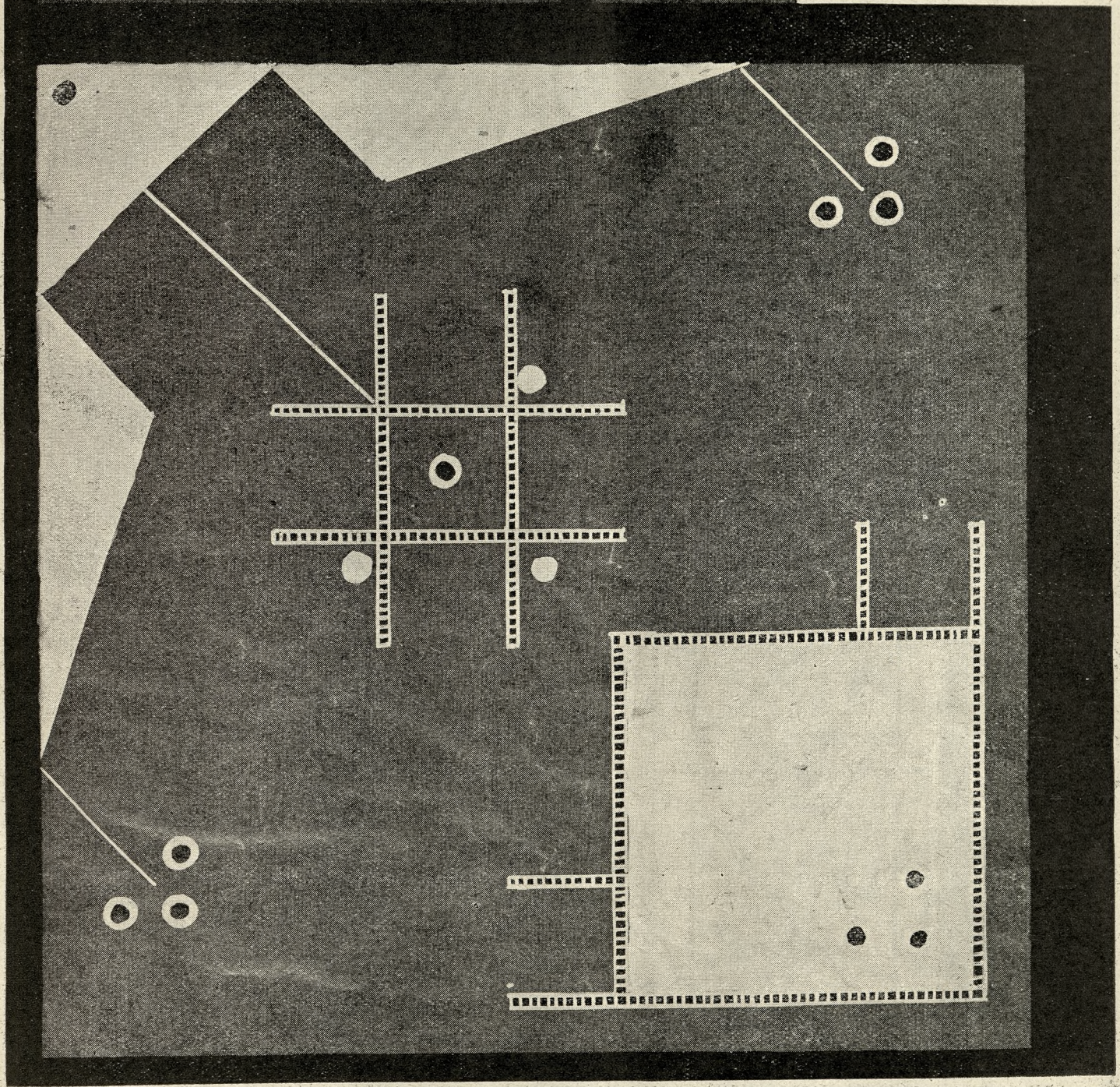
B. 84.

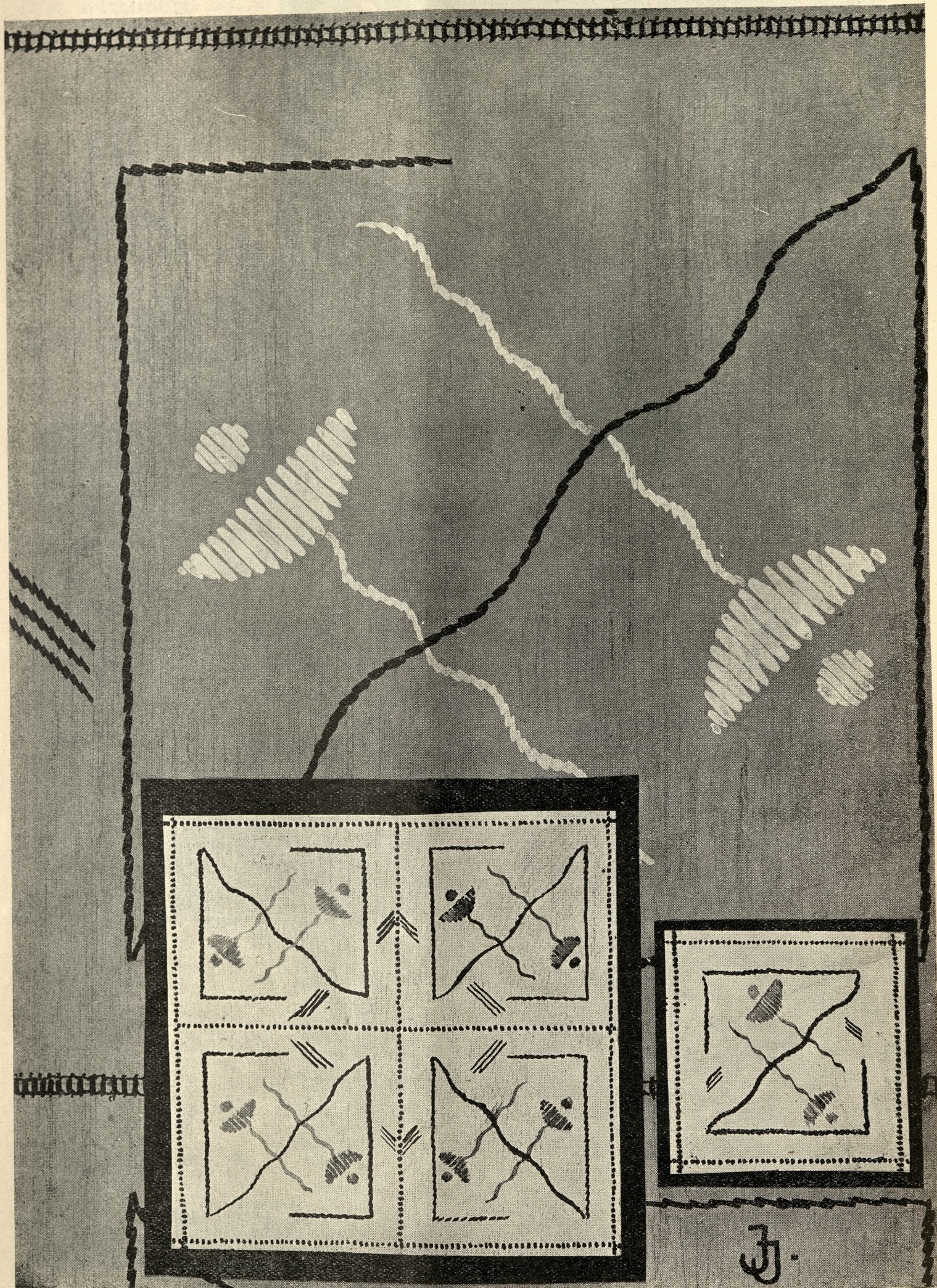
Poduszka

(projekt J. Chodkiewiczowej.)

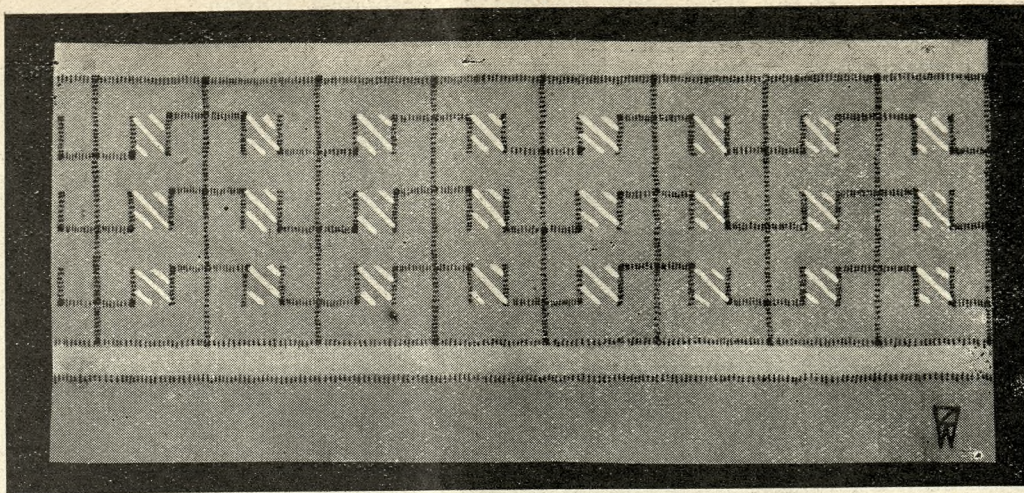


Płótno szare, aplikacja żółta,
merezki wykonane żółtą ni-
cią, kropki i dziurki również
żółte.



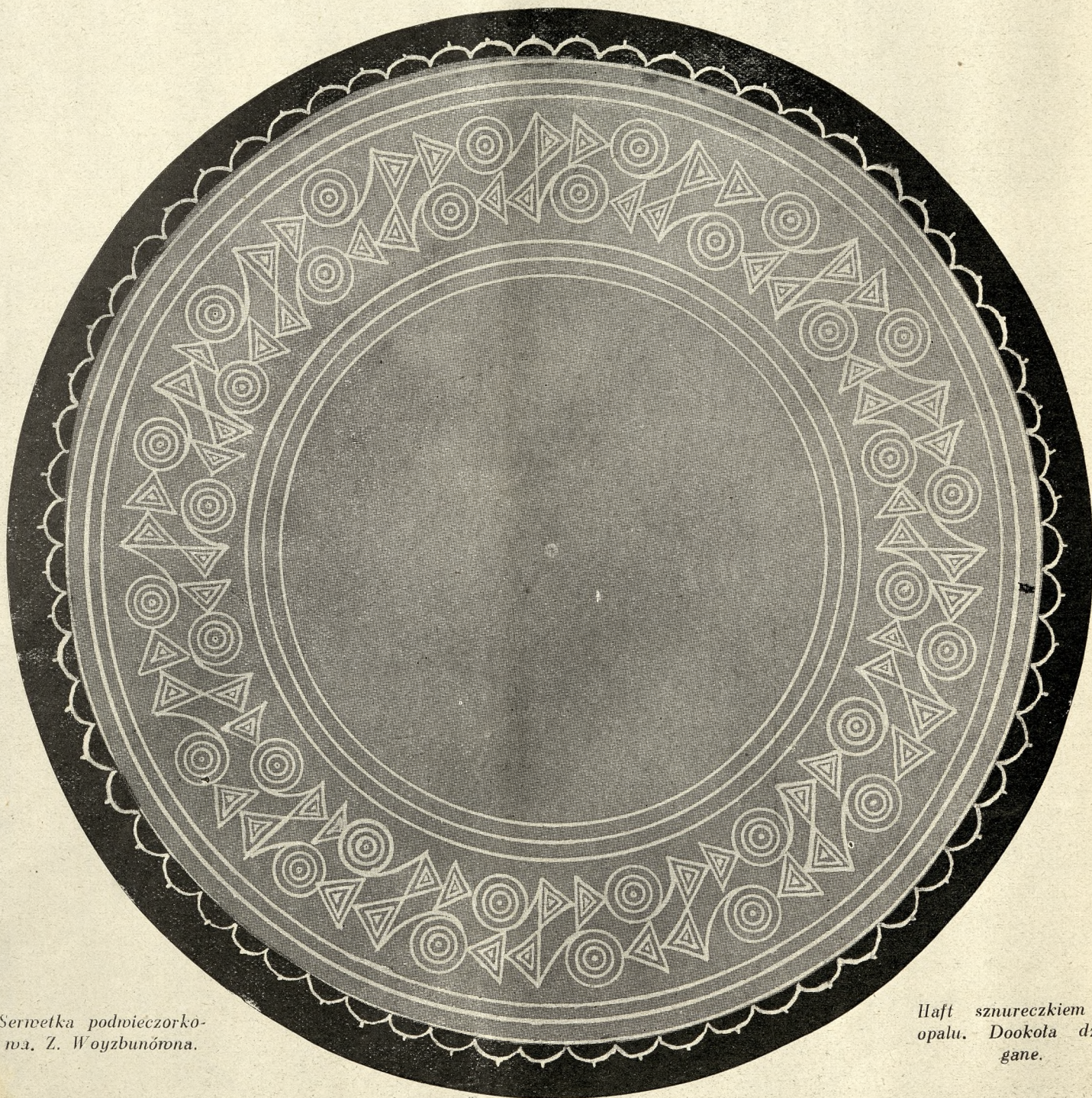






Szlak do koszuli dziennej.

Projekt Z. Woyzbunówny.



Serwetka podwieczorkowa, Z. Woyzbunówna.

Haft sznureczkiem do opalu. Dookoła dziergane.

Z dziedziny Kosmetyki

P. Z. Om. Co się tyczy rozjaśniania włosów *plynem Hella*, to przepis, znajduje się przy każdym flaconie. Jednak, stosownie do życzenia Pani, podaje tu jeszcze raz sposób użycia. Wymyć dobrze głowę proszkiem, który jest przy każdym flaconie, następnie, doskonale włosy splukać i osuszyć je ręcznikiem. Wilgotne jeszcze włosy obficie zwilżyć *plynem Hella*, i dać im wyschnąć. Zabieg ten, powtórzyć za 2 dni, już bez uprzedniego mycia włosów. O ile włosy byłyby jeszcze za ciemne, to za 2 — 3 dni jeszcze raz zwilżyć je *plynem Hella*. O ile włosy są już dostatecznie rozjaśnione, to *plyn Hella* stosować już tylko raz na 2 — 3 tygodnie i to głównie przy korzeniach, aby rozjaśniać włosy odrastające. Do rozjaśnionych włosów, używać do mycia najlepiej *rum'ankowy Schampoo Perfection*. O ile włosy są bardzo tłuste, to, aby ich nie myć często, można odłuszczyć je na sucho pudrem *Florentin*. Wtrzepuje się cokolwiek *pudra Florentin* ręką we włosy, a następnie wyczesuje szczotką i grzebieniem. Włosy są wtedy doskonale oczyszczone, miękkie i puszyste.

M-me Ercedes.

Dr Michałek-Grodzki
Chirurg - Plastyk

OPERACJE KOSMETYCZNE
Złota 3 (lecznica) Warszawa, godz 1-2 i 5-7

JEDWABISTĄ, MATOWĄ CERĘ



Każdej Pani, dbającej o piękno i zdrowie, polecamy książki J. ŚWITALSKIEJ

Kobieta Nowoczesna Cena zł. 4

Mój System Piękności i Zdrowia „ „ 8

Piękność i Zdrowie w życiu Kobiety „ „ 3

Do nabycia w Tow. Wydawn. „Bluszcz” Warszawa, Solec 87, świętokrzyska 17, oraz we wszystkich większych księgarn.

WYTWÓRNI FORM BIBUŁKOWYCH

TOW. WYD. „BLUSZCZ”

„Moja Krawcowa”

posiada na składzie formy bibułkowe wszystkich modeli zaopatrzonych numerem i literą podawanych w „Bluszczu” i „Kobiecie w świecie i w domu”.

Dobra forma bibułkowa jest niewątpliwie podstawą każdej eleganckiej sukni, jeśli pani tę suknię szyje sama, lub przy pomocy domowej krawcowej, należy więc stanowczo przed skrojeniem sukni, palta czy kostjumu zamówić formę bibułkową. Zrobić to trzeba w następujący sposób: po wybraniu modelu porównać swoją miarę z jedną z podanych wielkości.

wielkość I gors (połowa) 44 cm., biodra 50 cm.

wielkość II gors (połowa) 48 cm., biodra 52 cm.

wielkość III gors (połowa) 56 cm., biodra 60 cm.

i na załączonej do wycięcia karcie, lub na zwykłej karcie pocztowej wypisać numer i literę modelu oraz jego wielkość.

Ceny form bibułkowych są następujące:

kategoria I: suknie, palta, kostjумы, szlafroki, piżamy — zł. 1.50

kategoria II: spódnice, bluzki, bielizna, formy dziecięce — 1.—

Przesyłka pocztowa 30 gr.

Równocześnie z zamówieniem trzeba przesłać należność przekazem pocztowym lub na konto P.K.O. 170. Forma zostanie wysłana natychmiast po otrzymaniu należności. Zamawiającym za pobraniem pocztowym dolicza się koszty przesyłki w sumie 1 zł. 35 gr.

UWAGA: Wytwórnia „Moja krawcowa” podejmuje się również wykonania form bibułkowych do dostarczonych modeli z innych pism w cenie 2 zł. 50 gr. za formę kateg. I i 2 zł. za kateg. II.

Do Wytwórni form bibułkowych
„Moja krawcowa”

ZAMÓWIENIE:

Proszę o dostarczenie podług adresu wskazanego na odwrocie następujących form bibułkowych:

Sztuk	Suknia model	wielkość	cena zł. 1.50
„	Palto model	wielkość	„ „ 1.50
„	Kostjum model	wielkość	„ „ 1.50
„	Szlafrok model	wielkość	„ „ 1.50
„	Piżama model	wielkość	„ „ 1.50
„	Bluzka model	wielkość	„ „ 1.—
„	Matinka model	wielkość	„ „ 1.—
„	Spódnica model	wielkość	„ „ 1.—
„	Bielizna damska model	wielkość	„ „ 1.—
„	Bielizna męska model	wielkość	„ „ 1.—
„	Forma dziecięca model	wielkość	„ „ 1.—

Ogólną sumę zamówienia zł. gr. .. wpłacam równocześnie na konto P. K. O. 170 — przesyłam przekazem pocztowym (niepotrzebne skreślić).

(podpis)

Najmilszym przyjacielem jest dobra książka
największą ozdobą każdej biblioteki jest pięknie wydana książka
najdostępniejszą rozrywką jest tania książka

Dobre, piękne i tanie książki
wydaje Tow. Wyd. „BLUSZCZ”
Ostatnio ukazała się książka
Jadwigi niewnarskiej p. t.

Najdziwniejszy z romansów pani Sand

Do nabycia we wszystkich księgarniach

CENA 6 zł.

WSZYSTKIM PANIOM
POLECAMY DOSKONAŁE KSIĄŻECZKI WYDAWNICTWA
„ŻYCIE PRAKTYCZNE”

Zbiór i przechowywanie owoców

Potrawy z jarzyn

Co można zrobić z mleka

Co można zrobić z owoców

Co trzeba wiedzieć o grzybach

Potrawy i konserwy z grzybów

Potrawy z kartofli

Salaty i sałatki

Zimne leguminy

Jarzyny na zimę

Książka kucharska dla oszczędnych gospodyń

Kuchnia dziecięca

Nalewki i likiery

Drób i sposoby przyrządzania

Hodowla i tuczenie drobiu

Jarstwo i surówka

Oblady na maszynie

Wina owocowe

Zimne napoje

Zimne zakąski

Wyrób serów

Pieczyno domowe

Sto potraw z jaj

Zioła lekarskie najlepszym źródłem dochodu

Cukierki i słodycze

Potrawy z cielęciny

Drobne ciasteczka

Cena każdej książeczki 1 zł. z przesyłką pocztową 1 zł. 30 gr.

Konto PKO 12.200

DO NABYCIA W TOW. WYD. „BLUSZCZ”

Konto PKO 12.200

Warszawa, Solec 87 i Świętokrzyska 17 oraz we wszystkich większych księgarniach

KARTA POCZTOWA

NADAWCA:

Nazwisko i imię

Adres

Znaczek

za

20 gr.

Do

wytwórni

form bibulkowych

„MOJA KRAWCOWA”

Tow. Wyd. „BLUSZCZ”

Świętokrzyska 17 m. 3.

WARSZAWA

Wydawnictwo

„ŻYCIE PRAKTYCZNE”

**POLECA
DOSKONAŁĄ
KSIĄŻKĘ**

p. t.

**„POTRAWY
Z JARZYN”**

która zawiera 29 przepi-
sów przyrządzania potraw
z jarzyn.

Cena 1 zł. z przes. poczt. 1 zł. 30 gr.

**Do nabycia w Tow. Wyd. „BLUSZCZ”
Warszawa, Solec 87 i Świętokrzyska 17.
Konto. P. K. O. 12.200.**

**Wydawnictwo
„ŻYCIE PRAKTYCZNE”
poleca książkę p. t.**

Spacery i wycieczki

**CENA 1 zł.
z przes. pocztową
≡ 1 zł. 30 gr. ≡**

Zamawiać i nabywać można w Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Solec 87 lub Świętokrzyska 17 m. 3